MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 49. WARSZAWA, 10 LISTOPADA 1929 R. CENA NUMERU 80 gr.

O POTRZEBIE GODNOŚCI

GDYBY chcieć określić pierwszy, najniezbędniejszy warunek zdatności działacza politycznego czy grupy politycznej do kierowania losami kraju, warunkiem tym bezwątpienia byłoby rozwinięte dostatecznie poczucie godności, zapewniające, iż zachowaniem się swem oraz oświadczeniami publicznemi, nie będą oni przynajmniej przynosili ujmy narodowi, który mają reprezentować. Nawet najlepiej obmyślony plan polityczny może niekiedy zawieść, najwybitniejsi mężowie stanu oglądali niejednokrotnie ruinę swych zamierzeń, zburzonych przez nie dający się zgóry obliczyć, niezależny od nich układ sił i okoliczności zewnętrznych. Co jednakże zależy całkowicie od działacza politycznego, od jego osobistego charakteru — to niezachwiana godność jego postawy, szlachetność gestu i powaga poszczególnych wystąpień, tak zasadniczo różniąca np. sposoby walki, prowadzonej w imię wielkiej, jasno uświadomionej idei, od ordynarnej, płaskiej, zawziętej kłótliwości człowieka, dającego folgę swoim osobistym niechęciom i nienawiściom i załatwiającego swoje małostkowe porachunki z przeciwnikami bez jakiegokolwiek względu na poziom publicznych obyczajów. Od wewnętrznej wartości grupy politycznej zależy wyłącznie, czy w każdych warunkach stanowisko jej będzie godne, wzbudzające szacunek nawet pośród ludzi o zapatrywaniach odmiennych, czy też naodwrót przez krętactwa, kłamstwa, łobuzerskie metody postępowania, będzie ona musiała odstręczać i zawstydzać nawet swoich uczciwszych zwolenników. „Ocalenie honoru" jest zawsze, w ostatecznej instancji, w ręku samego walczącego, a nie jest to rzeczą mało ważną, bo ona jedynie umożliwia gromadzenie się około wysoko podniesionego sztandaru coraz nowym, następnym pokoleniom bojowników.

Każdy wielki przewrót w ciągu dziejów, każdy prąd na miarę historyczną, budził u swoich wyznawców, — niezależnie od słuszności czy niesłuszności jego założeń—pewną godność, wypływającą ze świadomości walki za wielką sprawę, godność, która nie zezwalała im na zniżanie się do poziomu żakowskich sztuczek i wykrętów. Szturm zrewoltowanego ludu na Bastylję w r. 1789 mógł był powieść się albo nie powieść, „marsz na Rzym" Mussoliniego w r. 1922 mógł zakończyć się zwycięstwem albo klęską, jedno wszakże w żadnym razie nie będzie ulegało wątpliwości: tłum paryski nie tłumaczyłby się, że wdarł się do Bastylji w tym celu, ażeby kupić parę garnuszków polewki od dozorcy więziennego, ani faszyści nie wyjaśnialiby swego wkroczenia w bramy Wiecznego Miasta — obrażeniem się na źle wychowanego żandarma, nakazującego im zejść z jezdni na chodniki.

Poczucie godności, jakie powinno znajdować wyraz w zachowaniu się ludzi, pragnących kierować państwem, jest i z tego także względu niezbędne, że ono również może dawać najpewniejszą rękojmię, iż w poszukiwaniu oparcia w społeczeństwie, system ich polityki jako podstawę mieć będzie poszanowanie godności ludzkiej obywatela, nie zaś jej wyplenianie i deptanie. Ludzie, którzy sami nie potrafią postępować w sposób, któryby nakazywał szacunek, z natury rzeczy dążyć będą do ugruntowania swej władzy przez odwoływanie się do niższych cech natury ludzkiej, przez metody korrupcji i zastraszenia. Będą więc oni prześladować charaktery mocne, niesprzedajne, natomiast popierać i pozyskiwać najrozmaitszemi korzyściami jednostki słabe, łatwo przystosowujące się do okoliczności, dające się przekupić, lękliwie. System zaś taki jest nietylko wprowadzaniem rozkładu w moralne życie narodu, ale nawet ze stanowiska tych,

którzy go stosują, może przynosić jedynie sukcesy połowiczne i krótkotrwałe. Wszystko, co dzielniejsze, szlachetniejsze, młodsze, buntuje się w społeczeństwie przeciwko takim metodom, nie zważając na zbyt „praktyczne" rady ludzi „ostrożnych", głoszących „nie narażanie się" i „liczenie się z warunkami"... Ci zaś, którzy czy to dla chleba, dla karjery, czy ze strachu wreszcie — ulegli, poniżyli się do kłamstwa i pochlebstwa, tem większą nieraz zachowują w głębi duszy nienawiść względem tych wszystkich, którzy ich upodlili, i wyczekują tylko chwili odwetu...

Może zdziwi to niektórych czytelników, że w okresie bardzo ważnych wydarzeń politycznych w Państwie, znajdują oni na tem miejscu rozważania tak dalece teoretyczne, ogólne, prawdy przytem tak oddawna uznane, na których każdy zdrowy ustrój państwowy, każdy wogóle system polityczny powinien być oparty. W okresie jednak, kiedy prasa brukowa do ostatka wyniszcza w społeczeństwie zdolność moralnej oceny poszczególnych zdarzeń, kiedy na fakty, które powinnyby przedewszystkiem wywoływać rumieniec wstydu, uczy spoglądać jak na interesującą „rozgrywkę" polityczną, ożywioną nieoczekiwanemi „sensacjami", tego rodzaju garść uwag o charakterze ogólnym, nie będzie może — pomimo wszystko — czemś całkiem niepotrzebnem i nie na czasie.

JAN REMBIELIŃSKI

PRZYSZŁOŚĆ KWESTJI CHIŃSKIEJ

W WIEKU XIX, i jeszcze prawie do dziś dnia, kwestja chińska wchodziła w zakres zagadnień kolonjalnych. Z tego punktu traktuje się ją i obecnie. Ale takie stanowisko zaczyna już być mniej właściwe. Możliwości, które kryją w sobie Chiny, jakkolwiek jeszcze pozostają tylko możliwościami, stają się bardziej bezpośrednie i nadają całemu zagadnieniu zupełnie inną postać.

Mówiąc: „problem" czy „kwestja chińska" mamy na myśli pytanie: jaki wpływ na historję świata może wywrzeć istnienie Chin. Cywilizacja tej części ludzkości, która dotąd, we własnem pojęciu przedewszystkiem, bo np. Chińczycy pozostają przy innej opinji, przodowała światu, rozwinęła się bez żadnego kontaktu z narodem, który stanowi przecież około 1/3 ludzkości, i ma własną, niesłychanie silną kulturę. Teraz, jeżeli ten ostatni zacznie odgrywać coraz większą rolę w życiu dyplomatyczno-politycznem, gospodarczem, kulturalnem, musi to wywrzeć duży wpływ na dalsze losy naszego świata. Jaki to będzie wpływ, jaką formę przybierze, to kwestja przyszłości. Autorowie powieści fantastycznych widzą to niebezpieczeństwo chińskie w postaci inwazji zbrojnej. Takie ewentualności są jednak bardzo dalekie. Należą do kombinacyj z zakresu fantazyj o „walce cywilizacyj", zlaniu kultury europejskiej ze wschodnią w jakąś jedną, nową, „eurazjatycką", czy coś w tym rodzaju.

Tu, z praktycznego punktu widzenia, zajmuje nas pytanie, jakie bezpośrednie skutki polityczne może pociągnąć za sobą wystąpienie Chin jako czynnika zorganizowanego, politycznie niezależnego.

Teraz trochę do historji.

Jako problem kolonjalny kwestja chińska została postawiona mniej więcej od drugiej połowy XIX w. Bardzo wyraźnie w jego ostatniem dziesięcioleciu.

W r. 1842 udało się w Chinach wymusić zbrojnie pierwsze poważne koncesje. Od tego czasu używa się ciągle tego środka. Szereg traktatów prowadzi do coraz większego opanowania suwerenności państwa chińskiego. Rząd chiński jest zmuszony do udzielenia cudzoziemcom, przebywającym na jego terytorjum, t. zw. przywileju ekstraterytorjalności, który wyjął ich zupełnie z pod juryzdykcji chińskiej, dalej do zrzeczenia się prawa dowolnego ustalania stawek celnych od importu, co odebrało mu możność prowadzenia polityki handlowej. Zarząd nad cłami i monopolem celnym przeszedł w ręce cudzoziemców i t. d. Pod koniec w. XIX rozkład Chin, popychany bardzo aktywnie naprzód przez państwa europejskie, idzie tak daleko, że staje się aktualnym ich podział pomiędzy poszczególne mocarstwa. Wymuszono na Chinach zgodę na budowę obcych kolei przez ich terytorjum. Koleje te wraz z t. zw. pasami przykolejowemi tworzą prawdziwe organizacje państwowe, nad któremi Chiny prawie że zupełnie nie wykonywały swych praw suwerennych (Rosja, Niemcy). Dalej t. zw. cesje tytułem dzierżawy (*cession á bail*), które są równoznaczne z cesją całkowitą. Na tych „dzierżawach" mocarstwa zaczęły zakładać bazy morskie i wojenne. Tworzyły sobie w ten sposób posterunki strategiczne na wodach chińskich tudzież wraz z kolejami podstawy do stopniowego opanowania dalszych objektów i terytorjów (Rosja, Francja, Anglja, Niemcy). Za tem idą koncesje gospodarcze na budowę i finansowanie kolei, kopalń i zakładów przemysłowych.

Tak duże i szybkie rozwijanie się interesów obcych w Chinach należy zawdzięczać przedewszystkiem temu, że rywalizacja mocarstw nie była od samego początku bardzo ostra. Wielki i definitywny wyłom w politycznym „murze" chińskim w r. 1853, został dokonany wspólnym wysiłkiem Francji i Anglji. W latach 1890 — 1900, w okresie t. zw. „*break up of China*" i ogólnej pogoni za koncesjami, wślad za wzmożeniem rywalizacji pojawiają się tendencje do kompromisu, które doprowadzają do szeregu układów, tworzących w Chinach t.zw. sfery wpływów (w r. 1896 Anglo-Francuski, w r. tymże Anglo-Niemiecki, w r. 1899 Anglo-Rosyjski). Mocarstwa zobowiązały się uzyskiwać nowe interesy, prowadzić ekspansję tylko w pewnych miastach Chin, a powstrzymywać się od niej w prowincjach, uznanych za leżące w sferze obcej. Charakterystyczne, jest że od Chin też udało się uzyskać uznanie takich sfer, zobowiązanie, że w pewnych okręgach nie będą udzielały koncesyj i dzierżaw żadnemu innemu państwu.

W ten sposób zgrubsza nakreślono już plan przyszłego podziału Chin, zamienienia ich na szereg kolonij, tak jak zrobiono z Afryką. Państwo Niebieskie zdawało się też zupełnie do tego dojrzałe.

Tymczasem takie rozwiązanie kwestji zostało uniemożliwione przez pojawienie się nad Pacyfikiem nowych czynników.

Od wojny japońsko-rosyjskiej rozpoczyna się w historji Dalekiego Wschodu nowy okres.

Konflikt japońsko-rosyjski powstał w znacznej mierze dzięki działaniu Anglji i Niemiec, pierwszej dążącej do osłabienia Rosji w Azji, drugich, do zaangażowania jej w komplikacje zdala od Europy. Ani jedna ani druga polityka nie rozwinęłaby się bez Japonji.

Po wojnie sytuacja zmienia się szybko. Nowe mocarstwo jest zainteresowane w Chinach i w inny sposób i w większym stopniu, niż wszystkie inne. Zdobywa część szczegółowych interesów rosyjskich. Przez to znajduje się w szeregu posiadaczy „sfer wpływów". Ale tem się nie zadowala. Korea, Mandżurja — to zamałe pola dla Japonji, drżącej formalnie od żywotnej potrzeby dalszej ekspansji. Ona przeciwstawia się koncepcji podziału Chin. Uważa je całe za leżące w jej sferze interesów.

Powstanie silnej Japonji wywołało zmianę sytuacji politycznej, która popsuła prognostyki na kompromis w Chinach, już prawie dokonany. Wojna w r. 1905 zaś była dalszym krokiem tej ewolucji. Odtąd kwestja rozbioru Chin jest nieaktualna. Jeżeli Japończycy twierdzą, że oni ocalili Państwo Niebieskie od podziału między białych, to nie jest to żaden frazes, ale oczywista prawda historyczna.

Od 1905 r. interesy tych państw, które w końcu XIX w. szkicowały podział Chin, zostają odepchnięte na dalszy plan. Teraz zjawia się kwestja hegemonji nietylko nad Chinami jako całością, ale i nad dostępem do Chin, Oceanem Spokojnym. Na czoło wysuwają się dwa narody, pretendujące do tego, Japonja i Stany Zjednoczone.

Dla Japonji kwestja zdobycia obszarów dla emigracji albo rynków zbytu, któreby pozwoliły na jaknajdalej idące uprzemysłowienie kraju, dalej zapewnienia sobie dostaw surowców, to kwestja życia i śmierci. Zdaje się, że z koncepcjami emigracyjnemi pożegnano się już ostatecznie. Pozostaje przemysł. Chiny jako rynek zbytu są dla niej prawie nie do zastąpienia. Najbardziej żywotne zagadnienie polityki japońskiej—to stosunek do Chin. Są możliwe tylko dwa rozwiązania, zabezpieczające przyszłość Japonji, albo osiągnięcie trwałej hegemonji nad Chinami, albo też utrzymanie z niemi trwałych dobrych stosunków. Każde inne jest dla niej pełne niebezpieczeństw. Chronicznie złe stosunki z Chinami, przez dłuższy czas, stworzyłyby dla niej sytuację złą i coraz gorszą.

Pójście na kompromis, zgoda na podział Chin, wywarłoby bezsprzecznie chwilowo dobre skutki, ale na krótko, byłoby paljatywem, na dalszą metę zamurowaniem sobie przyszłości. Nie było chyba od roku 1905 w Japonji kogoś, ktoby się zgodził z koncepcją podziału Chin.

W czasie wojny światowej Japonja próbowała zdobyć hegemonję polityczną w Chinach i prawie to osiągnęła. Koniec wojny zepsuł tę konjunkturę. Na drodze swej ekspansji spotkała Amerykę.

Stany Zjednoczone nie mają w Chinach żadnych inwestycyj, kolei, koncesyj. Ale zato przywiazują do rynku chińskiego ogromne nadzieje na przyszłość. Ich interesy są, wyraźmy się, potencjalne. A pozatem mają też ogromny interes negatywny w tem, żeby Chiny nie wpadły pod hegemonję Japonji. Urzeczywistnienie tego nietylko ucięłoby wszelkie perspektywy na eksploatację rynku chińskiego, ale wzmocniłoby tak ogromnie Japonję, że sytuacja Stanów Zjednoczonych na Pacyfiku uległaby znacznemu osłabieniu.

Z tego powodu postępy Japonji w Chinach w latach 1916—18 wywołały ogromne poruszenie w Ameryce. Zaraz po podpisaniu pokoju, tam właśnie kieruje się cała uwaga rządu Waszyngtońskiego. Stosunki między obu państwami psuły się szybko. Doszłoby do wojny z całą pewnością, gdyby nie stanowisko Anglji. Wojna na Pacyfiku byłaby dla Wielkiej Brytanji może nawet bardzo zyskowna. Niemiej ówczesny rząd Lloyda George'a, w obawie przed rozrostem potęgi japońskiej, jak również spodziewając się uzyskania w ten sposób poparcia Ameryki dla swojej polityki europejskiej, stanął po jej stronie. Umożliwiło to zwołanie konferencji Waszyngtońskiej przez Stany Zjednoczone i poprowadzenie jej obrad zgodnie z ich zamiarami. Japonja, izolowana, została zmuszona do zrzeczenia się części zdobyczy, przedewszystkiem zaś swych wielkich planów na przyszłość.

W krótkim czasie po konferencji Waszyngtońskiej zaczyna się działalność Sowietów w Chinach. Ma ona na celu, jeżeli nie rozwiązanie kwestji chińskiej, to, przynajmniej, skierowanie czynnika chińskiego w sensie odpowiadającym swoim zamierzeniom. Jak wiadomo, to im się nie udało. Zarówno doświadczenia Japonji jak i Rosji wykazały, że żadne z państw, w istniejących warunkach, nie jest zdolne do rozwiązania kwestji chińskiej na własną rękę.

Okres bolszewizowania Chin, marszu nacjonalistów na dolinę Jang-tse, jest bardzo charakterystyczny ze względu na stanowisko Stanów Zjednoczonych. Okazało się, jak bardzo są one przeciwne próbom rozwiązywania kwestji chińskiej na drodze wspólnej interwencji mocarstw. Była to zresztą tylko dalsza ilustracja: sam fakt jest doskonale znany. Należy się raczej dziwić, w jaki sposób w Londynie mogli liczyć się z możliwością uzyskania współudziału Ameryki w interwencji. Zmiejszanie się stanu posiadania i powagi państw obcych w Chinach, leży w interesie Stanów Zjednoczonych. Pretendują one, tak samo jak Japonja, do hegemonji nad Pacyfikiem i jego wybrzeżami, łącznie nietylko z Chinami, ale i na dalszą metę, z Australją i Nową Zelandją. Stąd właśnie zasadniczy konflikt między obu temi mocarstwami.

Problem chiński nie dał się rozwiązać ani w drodze podziału Chin w w. XIX — głównym czynnikiem stało się tu zabranie głosu w sprawach Pacyfiku przez dwa państwa, sprzeciwiające się zasadniczo takiemu rozwiązaniu—ani przez jedno państwo, wszelkie takie próby wywoływały sojusz wszystkich innych przeciw niemu.

W konsekwencji tego kwestja chińska pozostaje do zdecydowania dla samych Chińczyków, „we własnym zakresie". Wszystko zależne jest od tego, czy naród chiński zdobędzie się na zorganizowanie własnego państwa. Jak dotąd, zjednoczenie i konsolidacja wewnętrzna Chin odbywa się tylko w sferze bujnej wyobraźni. Jakie będzie rozwiązanie? jak prędko nastąpi? to są pytania, na które odpowiedź jest zupełnie niemożliwa.

Ale jeżeli nastąpi? Jeżeli silne i zorganizowane Chiny staną się faktem? Jakie będą tego najbliższe skutki?

Rząd chiński, jakikolwiekby był, gdy poczuje tylko pewną siłę, przystąpi do jaknajśpieszniejszej likwidacj przywilejów i praw państw obcych. Głęboka nienawiść do wszystkiego, co obce, hodowana w najszerszych warstwach od stu lat i pogarda dla wszelkiej obcej cywilizacji—te dwa najważniejsze czynniki jednomyślności politycznej w Chinach — usuną wszelkie

skrupuły co do wyboru środków. Z chwilą odzyskania wolności celnej, za zgodą czy bez zgody państw, zacznie się nietylko niezależna polityka celna, ale może nawet świadome zwalczanie handlu obcego, przynajmniej pewnych krajów.

Przedewszystkiem będzie tu zainteresowana Japonja. Już w obecnym stanie anarchji udaje się organizować bojkoty towarów japońskich, co jednakowoż odnosi pewien skutek. Dalej zagrożone będzie położenie w Mandżurji, bez której Japonja „nie może żyć". Precedens ostatnich wypadków na kolei zachodnio-chińskiej jest bardzo znaczący i dla japońskiej kolei południowo-mandżurskiej. Równocześnie z Mandżurją zostaje zagrożona Korea.

Największe jednak niebezpieczeństwo dla Japonji — to wojna ekonomiczna.

W tej samej dziedzinie jest zainteresowana i Anglja, nienawistna w opinji chińskiej począwszy jeszcze od „wojny opiumowej" 1839—1842 r.

Podobnie i w politycznej. Ruch chiński, podobnie jak japoński 25 lat temu, budzi żywe sympatje w całej Azji. Gdyby przyszłe Chiny zdołały się zorganizować tak dobrze jak Japonja, wpływ ich na nastroje polityczne całego kontynentu byłby ogromny.

Ten ostatni punkt (kwestje gospodarcze mniej) interesuje najwięcej Rosję. Jej „misja" wyzwolenia Azji utraciłaby cały sens. Tą rolę Chiny wzięłyby na siebie, wyzwalając pewno przedewszystkiem Sowiecką Republikę Mongolską.

Cała polityka Rosji zostałaby wstrząśnięta w swych posadach. Odrodzenie Chin, to byłoby zagrożenie najżywotniejszych interesów Rosji w Azji.

W ten sposób, jak widzimy, konsolidacja Chin może doprowadzić do wytworzenia pewnej podstawy porozumienia nietylko dla Anglji i Japonji, które ma za sobą poważne precedensy, ale nawet dla Anglji i Rosji. Precedensy dla Japonji i Rosji istnieją również, i obecnie działają. Powstanie takiej konjunktury wywołałoby przewrót w polityce całego świata.

Państwo, które ostatnie stanęłoby przeciw Chinom—to Stany Zjednoczone. Trzebaby długiej ewolucji, żeby mogły one być zagrożone przez nowe Chiny na Pacyfiku.

Najprędzej można liczyć na ich neutralność, albo na poparcie przez nie Chin. Jeżeliby polityka chińska potrafiła zrazić sobie Stany Zjednoczone, musiałaby być specjalnie nieszczęśliwą.

Jak słabe Chiny powodują rozłam między mocarstwami, tak mocne Chiny muszą doprowadzić do ich zbliżenia.

Powyższe przewidywania polityczne pozostają całkowicie w sferze akademickiej. Konjunktura słabych Chin trwa i będzie trwała jeszcze długo. Przez cały ten czas mocarstwa mają ręce związane i problem pozostaje w sytuacji potencjalnej, tylko naładowany możliwościami.

Ale niemniej perspektywy, co będzie, jak w ten czy ów sposób ruszy on z tego miejsca, są dla całego świata pierwszorzędnej wagi.

Dla nas szczególnie, ze względu na możliwe zmiany w położeniu politycznem Rosji, nabierają one znaczenia zasadniczego.

ADVR

Z ZANIEDBANEJ DZIEDZINY

1

KIEDY mówimy: śpiew narodowy, lub narodowy taniec, to dla wszystkich jest jasne, co chcemy przez to wyrazić. Chcemy wyrazić to, że tak śpiewali, tak tańczyli nasi ojcowie i dziadowie, że ten śpiew, ten posuwisty lub ochoczy rytm taneczny porusza w naszych sercach jakieś ukryte, rzewne i serdeczne struny — i to jeszcze, że trudno Polakowi oprzeć się wzruszeniu, gdy po długiej wędrówce lub na obczyźnie znowu nutę znajomą usłyszy. Ale już „sztuka narodowa" nie wszystkim się podoba; z najsilniejszym zaś protestem łatwo się spotyka, ktoby chciał utrzymywać, że ma prawo do bytu także narodowa filozofja.

Karol Libelt (1807 — 1875), wielki patrjota, filozof, przezacny człowiek, jeden z pierwszych u nas poruszył zagadnienie filozofji narodowej. W dziele p. t. „Filozofja i krytyka", w części krytycznej, trzeci rozdział poświęcił charakterystyce „filozofji słowiańskiej" i tu podał dziesięcioro przykazań (jak się wyraża) tej przyszłej filozofji. „Na samym wstępie"—pisze Libelt—„trafia nas zagadnienie, czy rzeczywiście filozofja może być narodową". Otóż „samo doświadczenie, z historji filozofji nabyte, uczy, że rzeczywiście filozofje były narodowe, że była filozofja indyjska, chińska, grecka, niemiecka i że każda miała swoje osobne pierwiastki, które się tylko w łonie tego, a nie innego narodu rozwinęły". Narody są do tego właśnie powołane, że przez nie i w nich dokonywa się postęp w życiu społecznem i postęp w myśli ludzkiej; każdy z nich, gdy nadejdzie czas, przyczynia się we właściwy sobie sposób do tego wiekuistego postępu. Więc z gruntu nowy systemat filozofji, dźwigający myśl ludzką o jeden szczebel wyżej i odkrywający z tego wyższego stanowiska nowe horyzonty, „nie tylko może, ale nawet musi z narodowego pierwiastka wypłynąć". „Berło historji"—czytamy w pięknej rozprawie „O miłości Ojczyzny" — „przechodzi od narodu do narodu; historją każdego narodu jest spełnienie misji pewnej..." Naród, pełniąc tę misję, czyli swe posłannictwo, służy ludzkości; ale służy jej pośrednio także wtedy, gdy tworzy własną filozofję. W systemacie narodowej filozofji odbija się duchowa indywidualność narodu i stopniowo uświadamia mu się jego posłannictwo; więc „bezpośredni wpływ filozofja wywiera na naród, w którym powstała, a pośredni, odleglejszy i późniejszy dopiero na ludzkość". Czasem po upływie wielu stuleci.

Filozofja polska — wywodzi dalej Libelt — powstać może tylko przez harmonijne zespolenie inteligencji i wiedzy ludzi uczonych z „tchnieniem ducha narodowego", z pierwiastkami, w naiwnej czystości przechowanemi w wierzeniach i obyczajach ludu. Otóż głównym dogmatem polskiego ludu — jak nauczał Mickiewicz, a Libelt całkowicie potwierdza — jest wiara w bezpośredni związek i w ciągłe działanie świata niewidzialnego na widzialny. „Kto tę wiarę wyssał z mlekiem, temu żadna mądrość świata jej z serca nie wytrąci". Z tej zaś wiary głównie wypływa dekalog filozofji słowiańskiej, to znaczy właściwie polskiej; „i co jest tu wiarą"—dodaje Libelt — „filozofja powinna rozjaśnić i podnieść do przekonania; zrobić tę wiarę ludu wiedzą narodu, pełną siły działania".

A oto dekalog tej filozoji:

„1. Pierwiastek jej nie musi zrywać tej jedności świata widomego ze światem niewidomym, ale i owszem położyć ten związek dwóch światów za zasadę.

2. Musi odrzucić samowładztwo rozumu i na równi z nim położyć wewnętrzne bezpośrednie pochwycenie prawdy, mocą bezpośredniego związku z duchem wiekuistym.

3. Musi duchowym pojawom swoim dać wyobrażalność, to jest pojmować ducha, jako ukształtowaną indywidualność, jako osobę.

4. Istotą ducha musi być żywot — czyn — rzeczywistość.

5. Wszelki dualizm jako taki zniesiony. Złe ustępuje przed dobrem, ciemności przed światłem. Ród ludzki wyniesiony do godności i szczęśliwości przez urzeczywiszczenie piękna, prawdy i dobra w świecie rzeczywistym. Natura zhołdowana i uszlachetniona przez ducha ludzkiego.

6. Wszelkie dobro materjalne pochodzi od Boga, nie od ludzi. W tem leży uszlachetnienie materji, oraz przeobrażenie własności prywatnej na lennictwo boskie, które przejął ród ludzki. Zasługami nietylko pracy, ale i żywota, nabywa człowiek prawa do tej lenności.

7. Braterstwo wszystkich członków narodu polega na jedności myśli boskiej, którą naród, jako osobna narodowość, reprezentuje; różność społeczna, czyli hierarchja, polega na możności zasług pojedyńczych osób w realizowaniu onej myśli.

8. Władza jest to myśl boża, uosobiona, by mogła być twórczą, wyjść z siebie i urzeczywiszczać się. Naród jest wcieloną wiedzą bożą, zatem najwyższą i jedyną władzą i tę władzę przelewa na jednostki wolą swoją. Jednostki są czynnikami woli bożej, najwyższa jednostka — najwyższym czynnikiem. Niema innego charakteru władzy nad wykonawczość myśli bożej, czyli posłannictwa narodowego. Ponieważ ta myśl boża dysze w każdym członku narodu, stąd uległość władzy naturalna i oburzenie konieczne, gdy władza nie działa w myśli bożej.

9. Religja Chrystusa, stawiająca świat widomy w bezpośrednim stosunku ze światem niewidomym, a bliżej religja katolicka, zniżająca samowładztwo rozumu, przypuszczająca obok niego wewnętrzny, bezpośredni pogląd ducha, jest religją słowiańską. Wszakże będzie to religja postępowa w zgodzie z filozofją.

10. Umiejętność, w szczególności filozofja, była dotąd scholastyczną, t. j. nie wyszła poza szkołę, odtąd powinna być popularną, t. j. ludową, kojarząc się z myślą bożą, która jest w ludzie, i rozwijając takową przez czyn".

Rojenia romantycznego umysłu, marzenia serca szlachetnego? Nie można zaprzeczyć, że w dziełach filozofów naszych — ale nietylko naszych — jest wiele rojeń, wiele fantazyj, wiele twierdzeń dowolnych, nieuzasadnionych; ale są też niewątpliwie myśli głębokie, wskazania bezcenne, są wyrażone oryginalnie prawdy nieprzemijające, żywe, wieczne jak naród, jak ludzkość. Dekalog Libelta godny jest tego, aby się nad nim gruntownie zastanowić, czy nie znajdziemy w nim nauki także na dzień dzisiejszy?

2.

Czemże jest naród? Społecznością ludzką, związaną wspólnością pochodzenia, jednaką w ciągu wieków dolą i niedolą, wspólnością cywilizacyjnego dorobku? Tak, ale nadewszystko spójnię narodową wytwarza d z i e d z i c t w o t y c h s a m y c h w a r t o ś c i d u c h o w y c h i wspólne oddawanie sił, a w potrzebie życia w ich obronie.

Pojęcie narodu, pojęcie tak niezmiernej wagi, tak często bywa niezrozumiane, mieszane z innemi pojęciami — szczepu, plemienia, nawet z pojęciem państwa, lub z ogółem różnoplemiennych mieszkańców terytorjum państwowego, że trzeba dokładnie sobie uświadomić, skąd to zamieszanie, jakie ma źródło? Nie rozumie, czem jest naród, kto przystępuje do tego zagadnienia od strony psychologji lub antropologji. Taki badacz, obserwując pewne skupienia ludzi, nie może dostrzec nic poza cechami zewnętrznemi, materjalnemi, jak np. wspólność interesów ekonomicznych, conajwyżej zaś podobieństwo temperamentów lub t. p. właściwości psychicznych. Tymczasem, o ile na podłożu takich pokrewieństw mogą powstawać zawodowe związki, kluby sportowe, nawet t. zw. klasy społeczne, nie powstają na niem nigdy narody. Nawet sprawa tak ważna dla życia narodu, jak posiadanie osobnego terytorjum — niezbędny warunek utworzenia państwa — nie jest decydująca. Naród może trwać bez własnego państwa, na emigracji, w rozproszeniu, wyzuty ze swej ojcowizny — byleby nie stracił tego, co o istocie jego stanowi: czci dla narodowych świętości, poczucia, że jest odrębną całością i że ma do spełnienia określone zadanie — swą misję dziejową. Dobra, których utracić nie może, jeżeli nie chce zginąć, są to dobra duchowe, nie materjalne.

Przekazują je z pokolenia w pokolenie najlepsi w narodzie, wodzowie, genjusze. Ogół, pochłonięty drobnemi sprawami życia codziennego, nie zna i nie rozumie nieraz ideałów, któremi naród żyje, nie troszczy się o cel tego życia. Tylko w chwilach osobliwych, uroczystych, w chwilach śmiertelnego dla narodu niebezpieczeństwa, odbywają się cudowne przemiany: z szarych mas wyrastają bohaterowie, niezłomni rycerze, święte kobiety, budzi się duma i godność, biją źródła poświęcenia i miłości. Świadomość narodowa drzemie w głębokich pokładach duszy ludu; trzeba ją obudzić i potężnie rozkołysać. Wrogowie narodu chcieliby ją, przeciwnie, uśpić i stłumić. Trzeba, żeby każdy Polak jasno zdawał sobie sprawę, ku czemu Polska szła i ku czemu ma iść, czego powinien bronić w swem codziennem życiu każdy obywatel, na straży czego ma stać i za co ma ginąć polski żołnierz.

3.

Trzeba, aby naród zdobył wiedzę o samym sobie, że jest i czem jest, czyli, jak się wyraża Maurycy Mochnacki, aby „miał uznanie samego siebie w swem jestestwie". Ale nie wystarczy wiedzieć „jak jesteśmy teraz"; należy także znać i rozumieć przeszłość historyczną. Oto wezwanie Mochnackiego:

„Poczuwajmy się we wszystkich czasach swoich, żebyśmy mieli wszystkie kolejne wieki naszego bytu w każdym momencie przytomne, tak, żeby za każdem uderzeniem pulsu i w każdem nieledwie tchnieniu naszego życia, wywijało się z zapadłej niepamięci minione, zatracone narodu jestestwo. Tym tylko sposobem doskonale pojąć się zdołamy. Taki tylko naród jest nakształt drzewa poświęconego, które wiekami zielenieje i bezprzestannie kwitnie — w burzy, w pogodzie, bez przerwy. Na to wychodzi rozumienie samego siebie w przeszłości i teraźniejszości".

Aby to rozumienie zdobyć, trzeba badać dzieje narodu, rozważać życie ludu, myśli i czyny wodzów i wieszczów, dostrzegać prawdę życia poza uwodzącemi pozorami, sięgać do źródeł, do podstaw narodowego bytu. Jeżeli na tej drodze powstanie filozofja polska, to rzecz jasna, że będzie ona polską nietylko z punktu widzenia formy, ale również pod względem treści. Wiedza o narodzie, o istocie narodowości, o ce-

chach charakteru narodowego, o powołaniu historycznem Polski, o jej losach; przewidywanie przyszłości, oparte na trzeźwej ocenie rzeczywistych warunków i sił własnych i obcych, określenie ideału wychowawczego, typu Polaka, jakiego potrzebuje ojczyzna, wskazywanie dróg prawdziwie polskiej polityce—oto treść i zadania narodowej filozofji. Jej rdzeniem filozofja dziejów, historjozofja; ciągłość historyczna nie może być zerwana, budować musimy na tem, co było i co jest, a nie wznosić gmachy powietrzne, wylęgłe z myślowych spekulacyj i abstrakcyj. Rzeczywistość — to naród, w glebę rodzinną wrośnięty i jego życie prastare, jego wierzenia i obyczaje.

Przeciwnicy filozofji, jako poglądu na świat i regulatora życia, wskazują na naukę, twierdząc, że ona powinna i musi ludziom wystarczyć. A przecież poznawanie świata w zakresie nauk szczegółowych, pomimo wspaniałego ich rozwoju, pozostawiało zawsze i pozostawia dzisiaj niezaspokojoną tęsknotę do ujęcia całości, do zrozumienia wszystkiego, do przedarcia się przez zasłony pozorów do istoty rzeczy. Nie wiemy i nie będziemy wiedzieli, czem jest w istocie swej świat, czem życie i człowiek, więc chcemy, musimy w coś uwierzyć. Tęsknota do pełni poznania nie jest zjawiskiem czysto i wyłącznie intelektualnem. Przejawia się w niej również uczuciowa natura człowieka i pragnienie oparcia postępowania na jakiejś głębokiej zasadzie, którą człowiek mógłby przyjąć całą swą istotą, „swem jestestwem“. Pomimo swej potęgi — stworzywszy Iljadę, Madonnę Sykstyńską, IX symfonję, radjo, aeroplan — człowiek stoi samotny, bezsilny i bezradny wobec ogromu wszechświata, tajemnic życia i własnej duszy, wobec tragicznego konfliktu pomiędzy wrodzonem mu dążeniem do szczęścia, a niezgłębioną niedolą i nieuniknioną śmiercią. Ogarnia go naprzemian przerażenie i zachwyt, groza, zdumienie, dreszcz wstrętu i uczucie wzniosłości. Pomimo wiekopomnych odkryć i genjalnych wzlotów ducha, otacza człowieka mrok i tajemnica.

Był czas, że uczeni wierzyli w możliwość zdobycia przez rozum ludzki prawdy niczem nieograniczonej, nie poddanej żadnym warunkom i w tym sensie absolutnej. Dziś w to nie wierzymy. O bezwzględności prawd może być mowa tylko w ramach naszej ludzkiej ograniczoności. Nieprzeparta żądza syntezy i pełni nie pozwala jednak na rezygnację, lecz zmusza do budowania metafizyki, jako systematu możliwości. Nie przyjmując nic takiego, co odrzuca nauka, czemu przeczy doświadczenie, probuje się odgadywać tam, dokąd doświadczenie nie sięga i gdzie nauka wyznaje niekiedy swą bezsilność. Metafizyk, kierując się intuicją, natchnieniem stara się znaleźć możliwie ścisły wyraz dla swego osobistego doświadczenia, które uzupełnia mu doświadczenie ogólnoludzkie i pozwala połączyć ułamki wiedzy, dostarczone przez nauki specjalne, w całość harmonijną. W ten sposób powstają pełne poglądy na świat — monistyczne, lub dualistyczne, materjalistyczne, spirytualistyczne i t. d. Ten, kto w podstawy takiego lub innego metafizycznego poglądu na świat uwierzy, zdobywa w życiu mocne oparcie, czerpie ze swej wiary odporność w walce z przeciwnościami, siłę w dążeniu do wytkniętego celu. Teorja i praktyka, filozofja i życie stają się dlań nierozdzielną, konsekwentnie powiązaną całością.

Filozofja, rozumiana w ten sposób, jest prawdziwem błogosławieństwem człowieka: reguluje bowiem jego stosunek do świata i życia, daje jego postępowaniu siłę i kierunek niezmienny, oparty na głębokiem przeświadczeniu. Przez nią i w niej wyraża się najpełniej i najgłębiej duchowa indywidualność jednostki.

Ale w takim razie, dlaczego nie mogłaby w filozofji znaleźć wyrazu indywidualność narodu? Zaniedbaliśmy uprawę własnej myśli filozoficznej, pozwoliliśmy sobie wmówić, że nasi myśliciele byli tylko niedołężnym refleksem filozofów niemieckich. Przyzwyczailiśmy się do lekceważenia tej „starzyzny“, nie wytrzymującej jakoby najłagodniejszej nawet krytyki naukowej. Panicznie bojąc się śmieszności, wolimy trzymać się pozornie naukowego materjalizmu, niż samodzielnie przemyśleć raz jeszcze założenia spirytualistycznej filozofji, przekazanej nam przez filozofów polskich. To zaniedbanie trzeba koniecznie naprawić! Nie zrażając się trudnościami, trzeba się zabrać do pracy, do studjowania Trentowskich, Libeltów, Cieszkowskich! Wydobyć prawdy żywotne z wielomównych okresów, otrząsnąć ziarna z plew, rzucić je w surową glebę współczesnego polskiego bytu, ogrzać słońcem wolności! Może wtedy — któż wie? — zazieleni się i zakwitnie drzewo, o którem pisał Mochnacki...

BOLESŁAW GAWECKI

KASPROWICZ W PORONINIE

LISTY Z R. 1907 — 1908

DAWNO nie słyszeliśmy głosu Kasprowicza. W trzy lata po jego śmierci, gdy przeglądam jego listy, mam wrażenie, że słyszę jego głos zamknięty w płycie gramofonu. Coraz jaśniej rozumiem przytem, że trzeba nieznane dotąd listy ogłosić w druku, aby nie zaginęły a czytane przypomniały jego postać.

Mam garść listów Kasprowicza z lat 1906—1908, kiedy, osiedliwszy się w Poroninie, utrzymywał przezemnie stosunek ze „Słowem Polskiem“ we Lwowie, w którego redakcji do r. 1906 pracował. Cztery listy z r. 1906 ogłosiłem we wspomnieniach lwowskich o poecie[1]). Pięć następnych (grudzień 1906—marzec 1907) podałem w „Myśli Narodowej“ z r. 1928 nr. 21. W ostatnim z nich poeta zapowiadał, że wybiera się do Włoch. Po nim nastąpiła przerwa dłuższa, a następny chronologicznie list, znajdujący się moim zbiorze, nosi datę sierpniową 1907 r.

Oddaję głos Kasprowiczowi.

I

Mój drogi

Jest taka historja: Sprawa Morskiego Oka jest niezmiernie aktualna — naciągnąłem dr. Radzikowskiego[2]), aby wszystkie dokumenta odnoszące się do tej sprawy wydrukował w Słowie Polskiem — rzecz sezonowa! Podniesie znaczenie pisma — ustępy będą z pewnością wszędzie cytować. Musicie to wydrukować, zdobyć się na to, tem więcej, że koszt nie wielki (zgodziłem się na 3 centy od wiersza—wierszy około 3000 — 10 dużych fejletonów). Mapka da się

[1]) „Wspomnienia o Janie Kasprowiczu i Stefanie Żeromskim“, Warsz. 1927, od str. 96.

[2]) Stanisław Eljasz-Radzikowski, lekarz i taternik.

łatwo zreprodukować i umieścić na czele numeru. To samo a może i więcej zapłacilibyście za inne fejletony, a to rzecz ogromnie ciekawa i przygotuje publiczność do zrozumienia rozprawy w Grazu, gdzie te wszystkie dowody będą czytane. Rozpocznij druk natychmiast. Dr Radzikowski jedzie do Grazu [3]). Prosiłem go, aby pisał stamtąd o przebiegu rozprawy i najważniejsze rzeczy telegrafował. Myślę, że propozycję tę przyjmiesz, bo to leży w interesie Słowa.

Tutaj na razie leje!

Przypomnij też p. Medyckiemu [4]) moją sprawę, bo to zaczyna wyglądać na kpiny — na ogromne lekceważenie mojej szanownej osoby.

Ściskam Cię serdecznie.

Twój
Jan Kasprowicz

Zakopane, 12.VIII.1907.

II

Poronin, 18 września 1907.

Mój drogi Zygmuncie

Nie gniewaj się na mnie, że ci nie odpisywałem tak długo. Czekałem sposobności, aby równocześnie coś ci przysłać do Słowa. Niestety na razie nie mogłem się zdobyć na nic takiego, coby się nadawało do fejletonu. Myślę jednak, że w bardzo krótkim czasie przyślę Ci trochę wierszy (wrażeń z ostatniej podróży). Wiele względów trochę mnie zbiło z tropu, przedewszystkiem mam trudności z wydobywaniem pieniędzy od pism warszawskich, z któremi mam umowę. Przytem taką mam odrazę do Lwowa, że wprost się boję cośkolwiek dawać lwowskim czytelnikom. Im bardziej się oddalam pod względem czasu od tego miasta, tem więcej uświadamiam sobie łyczakostwo panujące tam w zapatrywaniach na poezję, sztukę etc. A jednak, zdaje się, trzeba będzie tam wrócić, jeżeli zdecyduję się na docenturę, do której mnie namawiają. Gdyby to nie Lwów, to bym i tę sprawę szybciej i z większą gotowością załatwił.

Posyłam ci weksel — niech administracja wyłoży za mnie. Tej jesieni i zimy ostatecznie wszystko odrobię. W każdym razie przyślę ci niebawem kilka sonetów etc.

Serdecznie Cię ściskam

Twój
Jan Kasprowicz

III.

Poronin 12 października 1907

Kochany Zygmuncie!

Piszę do ciebie w sprawie następującej: poznałem się tutaj ze Stanisławem Lackiem [5]). Jest to umysł niepospolity; chciałby pisywać felleton do Słowa o literackich rzeczach bieżących, między innemi ma zamiar rozprawić się z teorjami p. Stanisł. Brzozowskiego i jego paczką.

Przydałoby się to bardzo, aby ktoś, mający dużo oleju w głowie, pisał o tem, co dzisiaj w Polsce zaniedbano, zostawiając swobodę działania Brzozowskim *et tutti quanti*. Odpisz mi, jeżeli możesz zaraz, bo ja się z nim w tych dniach zobaczę, więc chciałbym mu zdać sprawę z mojej interwencji u Ciebie.

Ze mną — troski i kłopoty rosną — nie widzę wyjścia. Ale to głupstwo. Siedzę nad Aischylosem, o którym marzyłem oddawna, żeby go porządnie przyswoić naszej literaturze. Nie wiem jednak, czy znajdę nakładcę. Skończyłem właśnie 2 część Orestei — „Ofiary“ (*Choefory*) i myślę teraz nad „Agamemnonem“ i „Eumenidami“.

Trochę wierszy nowych przyślę Ci niebawem.

Był u mnie Reymont, który przyjechał na 2 dni do Zakopanego, i mówił, że z Jankiem [6]) bardzo jest źle, już go podobno muszą odżywiać sztucznie. Bardzo to smutne.

Ściskam Cię serdecznie

Twój
Jan Kasprowicz

IV

Poronin 25.11 1907

Kochany Zygmuncie!

Piszesz, że jestem pan. Chyba sobie żartujesz ze mnie. Jestem tak zapracowany od rana do późnej nocy, że nieraz na krótką nawet przechadzkę czasu znaleźć nie mogę, a już co do pisania listów, to z dnia na dzień zwlekam, bo zdaje mi się, że zdania porządnie nie skleję. Tem sobie, proszę cię, tłumacz moje spóźnione odpowiedzi.

O przyjeździe do Lwowa absolutnie mowy być nie może, na to ani czasu ani pieniędzy nie mam [7]). Kilkodniowy pobyt we Lwowie z koleją etc. kosztowałby mnie więcej niż wydać mogę, tembardziej, że nic mi wydać ponad najelementarniejsze potrzeby nie wolno. Odmawiam sobie radykalnie wszystkiego, a cóż dopiero zbytków, a przyjazd do Lwowa byłby zbytkiem. Poza tem wiesz, jak tego miasta poprostu nienawidzę. Pozostanę w Poroninie, dopóki da się, choćby z największym wysiłkiem taczkę tu ciągnąć, a potem nie wiem, w każdym razie nie do Lwowa, bo czuję, że tam nic dobrego spotkać mnie nie może. W mieście tem pracować nie mogę.

Przez jeden rok w Poroninie zrobiłem więcej, niż przez cztery lub pięć lat w atmosferze lwowskiej. Na dowód jak haruję: od pierwszych dni października dotychczas przetłumaczyłem: Roberta Browninga „Pippa przechodzi“ (duży dramat wierszem), Ajschylosa „Ofiary“ (wziął Sfinks [8]) warszawski; wyjdzie w pierwszym numerze), Vauvenargue'a „Myśli i uwagi“ (wziął Połoniecki — zamówił Staff dla bibljoteki [9]) którą zamierza wydawać Księgarnia Polska), Ajschylosa „Eumenidy“ (weźmie Sfinks) i garść rzeczy własnych (część drobna do Sfinksa, część na razie zostanie w tece). Razem tego będzie jakie sześć tysięcy wierszy. Jak na jednego człowieka to dosyć. A jednak jeszcze za mało!

Pisał mi p. Zakrzewski w sprawie „Ateneum“ [10])— Oczywiście odmówiłem wstąpienia do komitetu redakcyjnego. Na to czasu nie mam, figurowanie zaś samo byłoby śmiesznem i upokarzającem. Ale nawet mieszkając we Lwowie w skład redakcji Ateneum wstąpić bym nie mógł, bo formalne należenie zamknęłoby mi drogę do innych pism, a Ateneum chleba mi nie da. Mam dosyć ludzi swoich; ja, wskutek ohydnych warunków, panujących w Polsce muszę być niczyim, tembardziej że polityka, walka partyjna i t. p. dawno mi obmierzły.

---

[3]) Rozpoczynała się wtedy sprawa z Węgrami o Morskie Oko przed trybunałem w Gracu. Interesów naszych bronił, jak wiadomo, prof. Oswald Balcer.

[4]) Zygmunt Medycki, administrator „Słowa Polskiego“.

[5]) Stanisław Lack, krytyk w Krakowie, wyróżniający się wykształceniem filozoficznem. Ur. 1876, zmarł przed wojną.

[6]) Popławskim.

[7]) Nie mogę sobie przypomnieć, z jakiego powodu namawiałem go na przyjazd.

[8]) Miesięcznik „Sfinks“ wychodził w Warszawie pod redakcją Wład. Bukowińskiego.

[9]) Rzecz ta wyszła jako III tom Bibljoteki „Symposion“ pod redakcją Leopolda Staffa.

[10]) W r. 1907 zaczął wychodzić we Lwowie miesięcznik, poświęcony sprawom kultury pod redakcją prof. Stanisława Zakrzewskiego. Wyszły 4 tomy. Od 1 stycznia 1909 miesięcznik ten zlał się z „Przeglądem Narodowym“ w Warszawie.

Odmówiłem Ateneum [11]), odmówiłem także figurowania w komitecie redakcyjnym „Sfinksa" — jestem tylko jego zwykłym współpracownikiem, jak mogę być współpracownikiem Ateneum i wogóle każdego innego pod względem literackim przyzwoitego pisma. Zdaje mi się, że przyczyny, które ci przytoczyłem, powinny ci przemówić do przekonania.

Piszę szczerze, tak jak myślę. We Lwowie—jak widzisz—nie mam nic do roboty; to jest miasto, które do szerszego, naprawdę kulturalnego życia najmniejszych nie posiada warunków—miałem na to dużo dowodów—i zdaje się długo jeszcze poiadać nie będzie.

W przedostatnim liście wspomniałeś mi o zaległościach w Słowie. Oczywiście je odrobię — tylko się trochę uporam z przekładami — czeka mnie Ajschylosa Agamemnon i wybór Emersona dla bibljoteki Połonieckiego [12]) może potem zdołam zabrać się do swoich rzeczy — a mógłbym obecnie pisać, mógłbym skończyć np. Marchołta, gdyby warunki życia były choć trochę dogodniejsze. Ale trudno, trzeba się i z tem pogodzić i czekać choćby trafu, który mi pozwoli zrobić coś dla siebie, bo dotychczas praca, tak uciążliwa, na skupienie się nie pozwala.

A zatem nie gniewaj się, że życzeniu Twemu abym przyjechał do Lwowa, zadosyć uczynić nie mogę i serdeczne przyjmij pozdrowienie. Ściskam Cię Twój

Jan Kasprowicz

Znajomym ukłony.

Wszystkie niemal przekłady, których tak wiele Kasprowicz w tym czasie dokonał, wyszły nakładem Towarzystwa Wydawniczego we Lwowie, istniejącego właśnie na to, aby pisarzom narodowym umożliwić pracę. Nie będę tych pozycyj wyliczał, wymienione są bowiem w każdej bibljografji [13]). Dzisiaj z podziwem patrzę na te czasy, że mogła wówczas istnieć we Lwowie taka piękna instytucja wydawnicza, na samopomocy pisarzy oparta, przy drobnych udziałach, że ważyła się wydawać dzieła tak poważne, jak Ajschylosa w przekładzie Kasprowicza, lub poetów angielskich, że ostatecznie te dzieła się rozchodziły.

Jednak w listach powyższych nie tyle szczegóły (bardzo wogóle jasne) domagają się komentarzy, ile sam nastrój Kasprowicza—jego stan ówczesny. Zwracam uwagę na gniewny ton ostatniego listu (z 25 listopada). Złorzeczy na kochany Lwów, kłóci się, że nie przyjedzie do Lwowa, buntując się przeciwko stosunkom najbliższym. Widocznie jest urażony, czy ma żal o coś.

Było to specjalne, Kasprowiczowskie rozdrażnienie. Niezbędne mu było, żeby się dobrze czuł, przyjacielskie otoczenie. Łatwo było go udobruchać w bezpośrednim obcowaniu: pożartować, pocałować, wykuksać, zresztą: „wiesz co, napijmy się" — i wszystko było dobrze. Ale wtedy zdaleka był i samotny. Latem choćby w Poroninie miał koło siebie mocnego a życzliwego człowieka, prof. Kaz. Twardowskiego. Ale gdy jesień i zima zajrzały w oczy, poeta poczynał odczuwać osamotnienie: Im więcej żałował Lwowa, tem więcej na niego się dąsał i — żeby się utwierdzić w Poroninie — tem więcej czuł potrzeby zaklinania się, że do Lwowa nie wróci.

Miał wrażenie, że Lwów chciał go się pozbyć. To prawda, że we Lwowie stale marzył o Poroninie, ale wydało mu się podejrzanem, iż inni byli także za tem, aby tam jakiś czas posiedział. Żywił w duszy jeszcze żal o to, połączony z podejrzliwością do „Słowa Polskiego", właściwie do mnie. Odczuwał strach czy sobie poradzi w Poroninie przy zmniejszonych ze „Słowa Polskiego" dochodach, a nie miał pewności, czy majacząca we mgłach jeszcze katedra w uniwersytecie lwowskim przyjdzie do skutku. Czuł się tak, jak ktoś puszczony na wodę, aby uczył się pływać. Zły był na ten nagły przymus, pod którym się znalazł. Później będzie za to wszystko wdzięczny, ale narazie był podrażniony.

Skoro możliwości w uniwersytecie się otwierały, dla nas przyjaciół było jasnem, że Kasprowicz musiał powziąć decydujące postanowienie i wziąć się do roboty. Pobyt we Lwowie nie posuwał niczego naprzód i temu wyjaśniałem, zmuszając do stanowczego kroku. A widziałem, że wpada w ociężałość, poddając się losowi w najłatwiejszym kierunku. Utrzymywał, że bez stałego zajęcia dziennikarskiego w redakcji zginie, usprawiedliwiał się przed sobą koniecznością „orki" dziennikarskiej i z perspektyw katedry gotów był dla samego spokoju rezygnować. Nie był to oczywiście wiek (47 lat), po tylu wysiłkach twórczych i burzach, zbyt odpowiedni na obieranie nowych dróg życia, ale od czegóż wola, gdy przytem nowa droga połączona jest z urokiem pracy tak umiłowanej, jak badanie literatury. Tak mu perswadowałem, a wkońcu zmusiłem do decyzji, zapowiadając, że posady tej w „Słowie Polskiem" nie będzie, ale że dbać się będzie o to, aby mógł się utrzymać, jako współpracownik stały a wolny. Bardzo się na to miotał i podejrzliwie na mnie patrzył. Wykładałem mu szczerze, że nie chodzi o użyteczność jego pracy (owej „orki") dziennikarskiej, lecz o jego dobro. Z redakcji wprost na katedrę nie pójdzie, trzeba raz przecie przerwać błędne koło, zamknięte celem w zarobkowaniu, bo nie ma przecież ambicyj zrobienia z siebie dziennikarza prawdziwego. A jeśli ma się habilitować, to wykazać się musi pracą nową. We Lwowie czas mu schodzi między redakcją a kawiarnią, a każdy rok dalej w tym trybie oddalać go będzie od celu,

Zdecydował się. Miał chwile gorsze i lepsze, w każdym razie widziało się, że się czuje w swoim żywiole. Pracował zawzięcie. Sam wyznaje: „Przez jeden rok w Poroninie zrobiłem więcej, niż przez cztery lub pięć lat w atmosferze lwowskiej". O to właśnie chodziło.

Kasprowicz miał miłość własną bardzo drażliwą. To, co było prawdziwie jego osobistą własnością, chował przed ludźmi, aby na szwank nie narazić. Więc sprawy, sięgające w istotę twórczości, więc wzruszenia, więc dążenia, na których dopięciu mu zależało, zamykał w sobie. Im bardziej zapalał się do katedry, tem więcej zapewniał, że na niej mu nie zależy, że wreszcie nie wierzy w nią. Bał się zawodu, któryby—jak mu się zdawało—poniżył go, czy ośmieszył. W gruncie rzeczy jednak myśl o katedrze była mu wówczas podniętą do wytężonej pracy. A po odbytej podróży do Włoch, gdzie poznał się ze swoją przyszłą żoną, nowe światło padło na drogę żywota poety, ukazując w ciepłym kolorycie potrzebę ustalenia bytu.

Narazie jednak, w dobie pisania tych listów, wszystko było odległe i majaczące, a kłopoty materjalne powiększały poczucie osamotnienia i rozdrażnienie.

Nie jest to łatwo przesuwać tory życia, choćby z nadzieją, że powiodą w światło.

(Dok. nast.) ZYGMUNT WASILEWSKI

---

[11]) Na okładce „Ateneum Polskiego" figuruje jednak nazwisko Kasprowicza, jako członka redakcji, razem z nazwiskami St. Grabskiego, E. Porębowicza, M. Raciborskiego i T. Sobolewskiego.

[12]) W „Symposionie" — wybór pism Emersona wyszedł w przekładzie M. Olszewskiego, Kasprowicz natomiast ułożył tom p. t. „Cztery głosy o poecie", gdzie są urywki Emersona, Spittelera, Dehmela, Hofmannsthala.

[13]) Ob. w przypisach: Z. Wasilewski „Jan Kasprowicz", Kaz. Czachowski „Jan Kasprowicz. Próba bibljografji". Szkoda że p. Czachowski nie wszędzie podawał nakładcę.

GŁOSY

DZIWNA WALKA

Wypadków dziejących się na terenie życia publicznego w Warszawie, nie próbujemy oświetlić jak należy, nie chcąc narażać wydawnictwa na rujnowanie konfiskatami. Z faktów, ogłoszonych w dziennikach, każdy oświecony i uczciwy obywatel kraju potrafi wyrobić sobie należyty na nie pogląd.

Skończyła się potyczka odroczeniem Sejmu na dni 30. Klub Narodowy parlamentarny uchwalił oświadczenie tej treści:

„Przed zwyczajną sesją sejmową stoją bardzo ważne zadania. W budżecie należy przeprowadzić oszczędności, by ulżyć nadmiernemu obciążeniu podatkowemu. Przedłożone Sejmowi zamknięcia rachunków za r. 1927/1928 i sprawozdanie Kontroli Państwa za r. 1928/29 ujawniają tyle nieprawidłowości i zawierają tyle zarzutów w odniesieniu do gospodarki państwowej, że dla usunięcia zła konieczne jest publiczne ich wyświetlenie i wyciągnięcie przez Sejm właściwych konsekwencyj. Ciężkie położenie gospodarcze państwa, wyrażające się zwłaszcza w zachwianiu równowagi gospodarczej między wsią i miastem, wymaga pełnej jasności i planowości w polityce rządu, przyczem dla usunięcia niedomagań konieczne są także i akty ustawodawcze. Bieg spraw zagranicznych, w szczególności w związku z wynikami konferencji w Hadze, oraz umowami polsko-niemieckiemi, wymaga również oświetlenia na gruncie sejmowym. Wreszcie Sejm ma podjąć przerwaną pracę nad reformą Konstytucji, której doniosłość jest tak mocno podkreślana właśnie ze strony czynników rządowych.

W tych warunkach odroczenie na miesiąc nierozpoczętej jeszcze sesji Sejmu uważa Klub Narodowy za krok z ogólnych względów państwowych szkodliwy, który będzie przez ogół rozumiany jako ucieczka przed odpowiedzialnością.

Prawidłowy bieg pracy na gruncie ustawodawczym jest niezbędnym warunkiem ładu prawnego i porządku w państwie. Jest obowiązkiem każdego stronnictwa, by nieograniczało się do krytyki i narzekań, lecz wskazywało pozytywne drogi, wiodące do usunięcia dzisiejszych wielkich niedomagań w państwie, których świadomość jest powszechna.

Klub Narodowy, w ten sposób pojmował zawsze i pojmuje swoje obowiązki w pracy parlamentarnej, nie ulegając w żadnej chwili oportunistycznym wahaniom, wynikającym z jakichkolwiek kombinacyj politycznych.

Klub Narodowy i nadal będzie prowadził pracę na tych zasadach w przekonaniu, że w tej jego pracy zawarte są pierwiastki twórcze, zdolne wyprowadzić państwo z dzisiejszego chaosu".

Człowiek cywilizowany i kochający Ojczyznę czuje się nieszczęśliwy, bo szarpią go i wstyd i obawa, co stanie się z Polską, jeśli ataki toczącej nas choroby trwać będą dłużej. Historja bieżąca wzięła nas na srogą lekcję elementarnych prawd o cywilizacji.

Stosunki nasze tak dziwnie się układają, że w chwilach ważnych, wymagających uważnego wpatrzenia się w sytuację Polski na linji dziejowej i to wpatrzenia się z wysokiego stanowiska z otwartym widokiem na przyszłość państwa, — urządzane są na arenie publicznej widowiska, które odciągają uwagę od spraw zasadniczych. Stanowisko, zajęte przez Radę Naczelną Stronnictwa Narodowego i przez jego Klub parlamentarny, jest jedyną wyniosłością nad tym poziomem życia politycznego, który wytworzyła „sanacja". Z tego stanowiska uderza przedewszystkiem dziwny widok żagwi bojowej na froncie wewnętrznym i białej chorągwi na froncie niemieckim.

Na łamach organu „sanacji" jednocześnie z oświadczeniem Klubu Narodowego wygłasza się okrzyki bojowe wodza klubu BB., tem znamienniejsze, że ostatnia potyczka „sanacji" była z lewicą i z jej wodzem Daszyńskim.

Myśl o walce z obozem narodowym nie da się niczem zagłuszyć. Jedynym celem przewrotów i manewrów jest pokonanie obozu narodowego:

„Poraz pierwszy" — mówi p. Sławek — „nie tylko wstrząsnęliśmy, ale i powaliliśmy Narodową Demokrację w maju 1926 r., czego nigdy nie zrobiłaby lewica i czego nigdy nie mogłaby wykonać".

Stronnictwo Narodowe — zdaniem zwycięzcy — „przedewszystkiem winno raz na zawsze wyrzec się prób dojścia do władzy, bo nie dojdzie".

Tylko nienarodowe żywioły mogą dojść w Polsce do władzy. Sławek jest postawiony na to (od kogo?) od dziejów, aby nie dopuścić do unarodowienia się państwa polskiego. Misja szczytna! Tego lewica nie rozumie, więc „sanacja" daje jej nauczkę.

Tak, na tym froncie białej chorągwi nie będzie.

AUSTRJACKIE TRADYCJE

Wychodzi we Lwowie dziennik p. n. „Gazeta Poranna", który przechodził już rozmaite koleje, w ostatnim zaś tygodniu od wydających go żydów kupiony został przez spółkę, złożoną z „wielkiej" burżuazji lwowskiej z magnatem wódczanym p. Baczewskim na czele. Nic w tem dziwnego, że świat interesów chce mieć na swe usługi organ prasowy, zastanawiający jednak jest wybór redaktora tego organu: oto powołano na to stanowisko ni mniej, ni więcej tylko b. dyrektora policji za austrjackich czasów, dr. Reinlendera.

P. Reinlender zawsze był członkiem Kasyna miejskiego, grywał tam w wista i miał przyjaciół, nie przeszkadzało mu to pełnić gorliwie obowiązków szefa policji, człowieka zaufania rządu austrjackiego. Przed paru laty, już za czasów polskich podniesiono przeciw niemu zarzut, że właśnie, jak na człowieka uważającego się za Polaka, zbyt był w tej austrjackiej służbie gorliwy, że nie wahał się demoralizować młodzieży szkolnej, poszukując i opłacając konfidentów wśród niej zwerbowanych. Było sporo hałasu o to, poźniej jednak ucichło i oto mamy p. Reinlendera jako jednego z kierowników opinji polskiej. Na tem stanowisku niewątpliwie nie omieszka pouczać narodowych „partyjników" o ich obowiązkach względem Polski, a z czasem może sięgnie nawet po laury „konspiratora", który tylko dla pozoru był dyrektorem policji austrjackiej, a w gruncie, to zawsze tylko dla Niepodległości pracował. Dziś wielu już jest takich „konspiratorów", a świadków tej obywatelskiej działalności nie zbraknie, od czegoż partnerzy brydżowi.

Jak jednak te tradycje austrjackie są trwałe i uporczywe! Wiedeń zawsze jako wzór. W Wiedniu dyrektor policji dochodzi do najwyższych w państwie godności, więc i lwowska, przed wojną czarno-żółta, bogata burżuazja powołuje na kierownika swej opinji również dyrektora policji. Dziwne ci panowie mają wyobrażenie o moralnym i ideowym bagażu, w jaki powinien być zaopatrzony redaktor pisma.

(Ro)

RZEMIOSŁO

W Warszawie i na prowincji zaczynają swe czynności Izby rzemieślnicze, fakt ten powinien zwrócić pilniejszą uwagę opinji publicznej na rzemiosło i jego rolę w materjalnym i moralnym rozwoju społeczeństwa. Wielki przemysł maszynowy zepchnął wszędzie rzemiosło do roli przeżytku, skazanego na zanik zupełny. U nas zdołało ono jeszcze utrzymać się jako tako na powierzchni, ale

wegetuje w roli kopciuszka, pozostawionego własnym siłom, którym nikt się nie interesuje. Przemysł fabryczny jest pupilem opinji: o losach jego nie tylko się radzi, ale nawet wspomaga je obficie z kieszeni ogółu. Otrzymywał i otrzymuje kredyty na surowce, kopalnictwo węglowe podtrzymujemy zapomocą podwyżki ceny węgla wewnątrz kraju, a wszystko to bez trwalszego rezultatu: robotnik łódzki żyje w nędzy, niepewny jutra. Rzemiosłem zaś, które daje sobie radę mimo jaskrawego zaniedbania, nie interesujemy się, aczkolwiek mamy w kraju kilkaset tysięcy warsztatów rękodzielniczych, dających utrzymanie, w znacznej mierze dostatnie, bardzo poważnej części naszej ludności.

Rzemiosło czeka jeszcze na rozwinięcie u nas swej ideologji. Opinja nie zdaje sobie sprawy z tego, że te kilkaset tysięcy warsztatów rzemieślniczych stanowi poważny nasz kapitał w należytem rozwiązaniu kwestji społecznej. Stawiamy wszystko na zarysowujący się już u fundamentów system wielkiego przemysłu, gdy właśnie powinniśmy coprędzej zmodernizować nasze poglądy na rękodzieło, które przez wieki całe zapewniało odbiorcom dobry towar, a wytwórcom godziwy zysk i dziś jest zdolne do świetnego rozwoju i wytworzenia licznej warstwy samodzielnych drobnych posiadaczy, w przeciwstawieniu do rzesz proletarjatu, wytwarzanego przez przemysł fabryczny. Młode pokolenie działaczy społecznych powinno zwrócić swe wysiłki w tę stronę.

(Ro)

WYCHOWANIE NARODOWE

OSOBLIWY „PRZEWODNIK"

ISTNIEJE w Polsce od lat dwóch tak zw. „Federacja oświatowa organizacyj społecznych", t. j. związek radykalnych organizacyj społecznych i oświatowych. Federacja ta wydała świeżo „Przewodnik oświaty dorosłych",[1] coś w rodzaju *vademecum* dla oświatowca, *vademecum* składającego się z dwóch części: z artykułów programowych i części informacyjnej. Książka obszerna (260 stron), porządnie wydana, zawierająca wiele materjału informacyjnego, zasługuje na bliższe rozpatrzenie. Tutaj chcę podkreślić kilka jej cech bardzo charakterystycznych.

Pierwszą jest tendencyjność wydawnictwa, niewątpliwa, jakkolwiek przezornie ukrywana. Książka zawiera informacje o wszystkich ważniejszych towarzystwach oświatowych polskich, ale oczywiście działalność towarzystw „sfederowanych" wysuwa się tam na plan pierwszy. Pozatem w artykule historycznym Heleny Radlińskiej, poza bardzo silnem akcentowaniem działalności organizacyj radykalnych, nie brak takich dygresyj polityczno-oświatowych, jak np. następujący ustęp o Lidze Narodowej:

> „Wybitne zabarwienie polityczne charakteryzuje tajną pracę oświatową wszystkich ugrupowań. Liga Narodowa (zał. 1886) postanowiła jako cel wytworzyć „z biernej masy społeczeństwa, zwłaszcza warstw ludowych, czynne siły", uruchomić je do „walki stałej i systematycznej o prawa narodu". Ideologja polityczna zalecała „wyzyskać również wszelkie nienawiści, fanatyzmy, zajątrzenia, słowem całą skalę uczuć ludzkich, będących pobudką działania". Niewola polityczna narodu polskiego, konieczność prowadzenia pracy oświatowej w podziemiach konspiracji, położyła tragiczne piętno na całej działalności oświatowej" (str. 31).

W ten sposób autorka sprytnie łączy działalność Ligi Narodowej z rzekomem wyzyskiwaniem fanatyzmów i nienawiści w pracy oświatowej. Szkoda co prawda, że nie uwidoczniła, skąd pochodzą te niewinne „cytaty". Jest to tylko jeden przykład, ale charakteryzuje on złośliwość autorki i tendencję książki.

Charakterystyczny jest też ustęp w którym p. Radlińska, podkreślając reakcyjność b. galicyjskiej Rady Szkolnej Krajowej, przypomina, że „jeszcze w latach 90-tych wiceprezydent Rady, Michał Bobrzyński będzie chciał konsekwetnie rozróżniać szkoły wiejskie i miejskie, aby w dziecku nie budziły się ambicje, przekraczające stan rodziców" (str. 28.)

Ustęp ten jest komiczny dla każdego nawet zdecydowanego przeciwnika Bobrzyńskiego, dla każdego, kto orjentuje się w nowoczesnym ruchu pedagogicznym i wie, że na całym świecie właśnie obecnie coraz bardziej „konsekwetnie rozróżnia się" (conajmniej w programach, jeśli nie także w organizacji) szkoły wiejskie i miejskie w związku odnośnemi potrzebami młodzieży.

Drugą cechą książki jest bardzo słabe uwydatnienie tego, co stanowi istotę najżywotniejszych organizacyj oświatowych polskich, a szczególnie Polskiej Macierzy Szkolnej i Tow. Szkoły Ludowej, t. j. walki o polskość kresów.

Nibyto mówi o tych rzeczach p. Radlińska i wynika to z pewnych zestawień działu informacyjnego. Jakże blado jednak wygląda w jej przedstawieniu działalność np. T. S. L. w Galicji (str. 39 i 40) wobec działalności Uniwersytetu Ludowego im. Adama Mickiewicza (str. 40 i 41). Kto domyśliłby się z tego przedstawienia, z jakim szalonym rozpędem szła przed wojną praca oświatowa w T. S. L. na kresach, ile dziesiątków wsi nauczyli z powrotem mówić i czytać po polsku działacze takiego tarnopolskiego koła T. S. L., jakim wysiłkiem ubogiego społeczeństwa stanęły wspaniałe gmachy T. S. L. na zachodzie, ile kościołów i kaplic powstało staraniem T. S. L. przy pomocy patrjotycznego duchowieństwa, jakie znaczenie dla Lwowa miała bursa grunwaldzka, dzieło dra Adama, ilu wreszcie ludzi dziś wybitnych kształciło się w wielkiej szkole pracy społecznej, którą była praca w T. S. L. na kresach. Głucho w „Przewodniku" o tych działaczach oświatowych (poza jednym Asnykiem) i półgębkiem tylko wspomina się o odrodzeniu polskości na kresach. Cała ta walka o polskość na kresach wschodnich i zachodnich jest najwidoczniej wstydliwym tematem dla „Przewodnika", tak jak wstydliwą jest ta kwestja dla „Federacji". Natomiast z entuzjazmem mówi autorka nawet o poszczególnych wykładach, wygłoszonych z ramienia Uniwersytetu Ludowego [2]). Umyślnie biorę tu przykład z przedwojennego ruchu oświatowego w b. Galicji, bo wiem, że autorka, uczestnicząc wówczas osobiście w tym ruchu oświatowym, choć po stronie radykalnej, miała wszelkie dane, żeby rzecz poznać gruntownie).

Ta obojętność dla spraw kresowych, pogoń za ideałami ogólnoludzkiemi z dyskretnem przyciemnianiem walki o najżywotniejsze interesy narodu — wszystko to stanie się tem charakterystyczniejsze, gdy stwierdzimy, że współpracownikami „Przewodnika" są nietylko polscy

[1]) Przewodnik oświaty dorosłych (1928) pod redakcją A. Konewki i K. Korniłowicza. Warszawa 1929. Wyd. Federacji oświatowej organizacyj społecznych, skł. gł. w Instytucie Oświaty Dorosłych.

[2]) Czytelnik nieświadomy sprawy, który po ustępie o T. S. L. przeczyta ustęp o Uniwersytecie Ludowym, upstrzony nazwiskami działaczy i charakteryzujący go, jako ośrodek walki o ideały nie tylko narodowe, ale i — ludzkie, wyobrazi sobie, że chodzi o instytucję co najmniej równą co do znaczenia społecznego „Towarzystwu Szkoły Ludowej". W istocie Uniwersytet Ludowy był instytucją słabo rozwijającą się tylko w paru miastach, a zakres oddziaływania jego niewiele wychodził poza robotników z partji P. P. S. i chciwych „ogólnoludzkich ideałów" żydków krakowskich i lwowskich. Podobnie jednym tchem wymienia autorka potężną „Macierz" i słabiuchną „Kulturę" w Kongresówce.

autorzy. Są tam bowiem także artykuły o ruchu oświatowym białoruskim, niemieckim, ukraińskim i żydowskim. Autorami ich są pp. Antoni Łuckiewicz, Seefeld, Hałuszczyński i Gordon. Są to, zdaje się, jedyni nacjonaliści, dopuszczeni do głosu w „Przewodniku" (nawet oświatę żydowską referuje reprezentant nacjonalistycznego „Tarbutu", a nie radykalnie lewicowego „Zjednoczenia szkół żydowskich"). Walka narodowa na kresach naszych jest więc w istocie uwzględniona w „Przewodniku," ale nie z punktu widzenia polskiego, tylko białoruskiego, ruskiego, niemieckiego i żydowskiego.

Ciekawe są te gościnne występy na kartach „Przewodnika" najzaciętszych wrogów polskich towarzystw oświatowych [3]). P. Łuckiewicz np. bez ceremonji sypie setkami szkół białoruskich, które rzekomo powstały na Wileńszczyźnie w czasie okupacji niemieckiej i w czasach Litwy Środkowej. „Lecz rezultaty tej pracy syzyfowej" — pisze — „zostały całkowicie zniweczone, gdy po objęciu władzy na terenach białoruskich przez wojska polskie — zapoczątkowano system polityki polonizacyjnej w dziedzinie szkolnictwa". Któż wyjaśni polskiemu czytelnikowi, że te szkoły „białoruskie" tworzyło nie rzekome „społeczeństwo białoruskie", lecz że organizowały je władze niemieckie, tworzące sztucznie narodowość białoruską przeciw wpływom polskim i rosyjskim na kresach? Któż mu powie, że dyrektorem „białoruskiego" seminarjum w Świsłoczy był — urzędnik pruski? Któż odpowie p. Łuckiewiczowi zgodnie z prawdą, że te „szkoły białoruskie", które dawały chleb kilkuset bezrobotnym byłym nauczycielom rosyjskim, były istnym humbugiem, bo wykładano w nich przeważnie po rosyjsku. Są dowody na to, że nauczyciele rzekomych szkół białoruskich nie umieli — pisać po białorusku! Cóż dziwnego, że szkoły „białoruskie" stopniały jak śnieg na wiosnę, gdy tylko władze polskie poczęły żądać od nauczycieli uczenia naprawdę po białorusku, a nie po rosyjsku.

A dalej dowiaduje się czytelnik od p. Łuckiewicza, jaką to doniosłą rolę oświatową spełniają „hurtki" białoruskie:

„Hurtki" te — to jedyne dziś wogóle ośrodki życia kulturalnego wsi białoruskiej, albowiem tworzone przez władze administracyjne i społeczeństwo polskie podobne ośrodki o charakterze narodowym polskim, służą niemal wyłącznie potrzebom napływowego elementu polskiego: sferom drobnych urzędników z ich rodzinami, osadnikom, funkcjonarjuszom policji, żołnierzom. Ludność białoruska unika uczęszczania do polskich domów ludowych, ale szczelnie wypełnia sale na przedstawieniach, wieczornicach, prelekcjach białoruskich (str. 220).

Oto informacje, które można wyczytać w polskim „Przewodniku" o stosunku wpływów polskich organizacyj oświatowych do białoruskich, informacje oczywiście zupełnie błędne, wiadomo bowiem, że „hurtki" zdobywają zwolenników głównie obietnicą przewrotu społecznego i nadziału ziemi dla członków, a nie działalnością oświatową.

Podobnie np. można się dowiedzieć z „Przewodnika" o różnych rodzajach prześladowań, jakim podlega ze strony administracji politycznej i szkolnej „niewinny" ruch oświatowy „Proświt" ukraińskich. Skądże dowie się nieuprzedzony oświatowiec, jakiem silnem tętnem ruchu antypaństwowego biją owe niewinne „Proświty", prześladowane rzekomo już nie tylko przez rząd polski, ale, jak twierdzi p. Hałuszczyński, także przez wielką część społeczeństwa polskiego „i młodzieży pewnej politycznej orjentacji". Jest to jedno z nielicznych miejsc w „Przewodniku", z którego można wywnioskować, że żywioł polski też walczy na kresach.

Oto informacja z pierwszej ręki, którą cierpliwy czytelnik wyczyta o stosunkach na naszych kresach wschodnich. Informacyj w tych sprawach z polskiej strony, choćby w obronie rządu polskiego, w „Przewodniku" nie znajdzie. Dla „Federacji" to wstydliwy temat. Wydawcy „Przewodnika" ograniczają się do stwierdzenia, że „odpowiedzialność za stronę rzeczową ponoszą oczywiście autorzy" (str. 122). Państwo polskie i ruch oświatowy polski w swej działalności na Kresach nie znajdują oparcia w „Przewodniku". Jednostronność przedstawienia rzeczy bije w oczy każdego nieuprzedzonego czytelnika.

Pomijam już fakt, żetaki „Przewodnik" wydała „Federacja" subwencjonowana, i to grubo subwencjonowana z funduszów państwowych. Przedewszystkiem bowiem zastanawiające jest dla mnie, jak bezsilnemi okazują się nasze radykalne organizacje oświatowe polskie, ilekroć dotkną centralnego problemu instytucyj oświaty pozaszkolnej i wogóle centralnego zagadnienia naszego ruchu oświatowego, czem jest mojem zdaniem, problem naszej ekspansji kulturalnej na Kresach. W tej dziedzinie milknie natychmiast „Federacja", a dostają głos panowie Łuckiewicz i Hałuszczyński.

T. JÓZEFOWICZ

[3]) Zaznaczyć tu trzeba, że artykuły te (poza krótkim i ostrożnym niemieckim) są dość obszerne. Tak n. p. „Towarzystwu Szkoły Białoruskiej" („hurtkom") i ruskiej „Proświcie" poświęcono w „Przewodniku" znacznie więcej miejsca, niż Polskiej Macierzy Szkolnej, czy Towarzystwu Czyteln Ludowych, albo T. S. L., coprawda także więcej, niż „Turowi" i Związkowi Naucz. Szkół Powszechnych; tak daleko idzie gościnność „Przewodnika".

NAUKA I LITERATURA

WIELKA LIRYCZNA POWIEŚĆ E. ZEGADŁOWICZA

(Emil Zegadłowicz: „Żywot Mikołaja Srebrempisanego". Część I—III. Poznań 1928/9. Księgarnia Św. Wojciecha).

TWÓRCZOŚĆ Emila Zegadłowicza stanowi zarówno jakościowo, jak i ilościowo, jedną z najciekawszych pozycyj w dorobku „Najmłodszej Polski" literackiej.

W twórczości tej uderza nas przedewszystkiem bogactwo treści, szeroki rozmach i fenomenalna pracowitość. W porównaniu ze swymi rówieśnikami w charłactwie „krótkiego oddechu" i migawkowych natchnień, zdobywających się jedynie na minjaturowe „dzieła" kilkunastostronicowej objętości, jest Zegadłowicz wprost furjatem i entuzjastą pracy, czego plon oglądamy w wydaniu w okresie 20 lat (1908—1929) zgórą 40 tomów poezyj, dramatów, prozy i tłumaczeń.

Poeta-liryk i dramaturg, zwrócił się ostatnio do prozy, ważąc się na dzieło, które już w samym pomyśle zdumiewa swą śmiałością oraz iście balzakowską rozpiętością ram. Dziełem tem jest rodzaj powieści o charakterze kroniki autobiograficznej p. t. „Żywot Mikołaja Srebrempisanego", w całości mającej objąć tomów 12 (słowami: dwanaście!), z których trzy pierwsze p. t. „Godzina przed jutrznią", „Z pod młyńskich kamieni" i „Cień nad falami" ukazały się już nakładem poznańskiej księgarni św. Wojciecha. Niezależnie atoli od tego, jak się ukształtuje całość i jak sąd o tej całości wypadnie, już dzisiaj stwierdzić należy, że ostatnią pracą Zegadłowicza zająć się warto dokładniej, i to nie specjalnie dlatego, że książka ta zawiera autobiograficzny „romans życia" jednego ze znanych młodszych literatów, jak również nie dlatego, że jest ona na ciekawem tle współczesności polskiej osnutą powieścią (chociaż pod wieloma względami trudno ją nawet do gatunku powieści zaliczyć), ale dlatego, że jest właśnie taką, jaką jest, do niczego nie podobną, niczego nie naśladującą, nawskroś samowolną, o formie uwarunkowanej treścią i z tą treścią ściśle sharmonizowanej. Wysuwane przez niektórych krytyków analogje (oczywiście i „wpływologje"), to z „Janem Krzysztofem" Romain Rollanda, to z Proustem, przy

głębszem wniknięciu w dzieło tracą swoje podstawy, trafiające się bowiem pewne, dalekie zresztą i czysto formalne zbieżności, głównie w formie i technice pisarskie (np. brak ciągłej fabuły, brak koncentracji i rozbicie na epizody, mnóstwo dygresyj i nawiasowych uwag, niezwykła rozlewność stylu, lubowanie się w drobiazgowych opisach przedmiotów i t. p.) są zbieżnościami zgoła przypadkowemi i nie sięgającemi w istotę rzeczy. Tam zaś, gdzie chodzi o problemy pisarskie podstawowej wagi, jak np. o sposób podejścia do przedmiotu, o ujęcie tematu, o stosunek do materjału twórczego i t. p., tam Zegadłowicz różni się zasadniczo od francuskich belletrystów. Różni się przedewszystkiem tem, że nawet w powieści pozostaje poetą, przepajając ją nawskroś elementem subjektywnym, a tem samem czyniąc ją dziełem *par excellence* lirycznem. Stąd też główny nacisk kładąc na odtworzenie stanów duchowych Mikołaja Srebrempisanego i na zobrazowanie jego ewolucji psychicznej, zawiera w tem Zegadłowicz wierne odbicie własnej poetyckiej duszy i własnych przeżyć wewnętrznych, podobnie jak w osobliwym stosunku bohatera do otaczającego go zewnętrznego świata rzeczy, w stosunku czysto osobistym, uczuciowym, pełnym wiary, że każdy przedmiot, sprzęt i t. d. ma swoją duszę, że każdy żyje swem cichem, utajonem życiem i poufnie obcuje z człowiekiem — daje wyraz swojemu poetyckiemu, lirycznemu światopoglądowi, będącego nawiązaniem do odległych tradycyj naiwnego animizmu. Od takiego subjektywno-uczuciowego ujęcia rzeczy do objektywizmu ścisłych analiz Prousta — jakże daleko! Zresztą nie mamy powodu nie wierzyć samemu autorowi, który, broniąc samorodności swej koncepcji, między innemi rzekomy brak jednolitej kompozycji tłumaczy wyraźnie nie przykładem żadnego zagranicznego mistrza, ale wpływem nauczyciela, najważniejszego dla każdego rasowego pisarza, mianowicie wpływem życia samego, życia z dnia na dzień, narastającego wedle wieczystych praw, rządzących ziemią i wszechświatem... i układającego się w warstwy wspomnień, których odbicie mamy w luźno przylegających warstwach treści. Tak więc pozorna akompozycyjność tej pracy wiąże się ze swobodnym nalotem wspomnień, z których się ta powieść autobiograficzna składa.

Wydane do tej pory trzy tomy stanowią pewną zamkniętą w sobie całość, przedstawiając dzieciństwo Mikołaja Srebrempisanego. Autor prowadzi nas tu w swe ukochane strony rodzinne, w okolice Wadowic (przezwanych tu Wołkowicami) w ciche przysiółki i na rozległe grapy beskidzkiego podgórza, stanowiącego tło przeważnej części jego utworów. Z pominięciem chronologji rozpoczyna Zegadłowicz opowieść od opisu śmierci umiłowanego ojca-przyjaciela, jako od najsilniejszego z przeżyć dziecka, stąd na czoło wspomnień się wysuwającego. Następuje utkany z rozprószonych dźwięków i rozlicznych woni obraz „sielskiego i anielskiego" dzieciństwa, symfonja zarania żywota, gdy z atmosfery marzeń i snów budzi się duszyczka dziecięca w pierwszych błyskach świadomości, w owej „godzinie przed jutrznią", niby rozchylający się do słońca pąk kwiatowy. I oto widzimy dalej, jak w miarę rozwijania się wrażliwości zmysłowej, ta świadomość coraz to bardziej się pogłębia: wegetacja przemienia się w życie. „Wiecznie płynne, zdrowe, szumne życie obracało młyńskiem kołem doznań — a już od gatunku i dorodności ziarna zależało, jaka z pod obrotnych kamieni sypała się mąka... Z ziarn czasu posuchy—mąka nikła, z ziarn czasu wód i burzy—mąka gorzka, z ziarn czasu równowagi—mąka pożywna, z ziarn czasu podniesienia — mąka Ciała Pańskiego". Opowiadania ojca, poznanie sztuki czytania i pisania, wreszcie lektura pierwszych z gorączkowem przejęciem pochłanianych książek—wszystko to rozszerza widnokrąg umysłowy dziecka, gromadząc ziarna myśli na przemiał przyszłych przeobrażeń. Przy sposobności zdawania sprawy z lektur Mikołaja, daje autor wyraz swej gorącej miłości do ksiąg, mówiąc „o zachwycie i zaciekawieniu, wyrastającem z kart pierwszych ksiąg, o ich dobrem przymierzu i wielkiej nowinie, o słowach najwyższych i ich treści, mokrej od łez...".

Do szczegółowego opisu choroby i śmierci ojca powraca Zegadłowicz jeszcze raz w tomie III-cim, jako do momentu, zamykającego pierwszy etap żywota Mikołaja Srebrempisanego, mianowicie jego beztroskie, pogodne dzieciństwo, po którem ma nastąpić „chmurna i górna" młodość. Pod koniec tomu III-go przedstawia Zegadłowicz, jak szarpiącemu się w bólu osamotnienia Mikołajowi ukazuje się zjawa zmarłego ojca; ten „cień nad falami"—to symbol głosu życia, wabiącego dziecko do wyjazdu z cichej przystani rodzicielskiego domu na wzburzone fale życia. Kryje się w tem również wyraźna zapowiedź dalszego ciągu rozpoczętej kroniki. Zresztą sam autor zaznacza w przedmowie, że „Żywot M. S." „ma dać całkowity przekrój jednego odcinka życia (indywidualnego i zbiorowego): lata przedwojenne, okres wielkiej wojny, fermenty powojenne z całym aparatem szczegółów, kształtujących człowieka". Uzupełnia ten plan podane w jednym z wywiadów wyznanie: „Chcę dać w tej powieści w poszczególnych etapach, jakby piętrach, przekrój swego życia — o ile ktoś tak chce tę rzecz ująć — względnie życia człowieka wogóle, od lat najmłodszych do starości. Przecięcie epoki ludzi, urodzonych z końcem XIX wieku, przez „Młodą Polskę", zagadnienie formy artystycznej, rewolucję 1905 r., młyn wojny światowej aż do odzyskania niepodległości... potem przekrój Polski współczesnej, który zamknę enuncjacją syna"... W ten sposób, w kolejnych etapach ewolucji duchowej, w budzeniu się świadomości, w dojrzewaniu wewnętrznem będziemy mogli obserwować stawanie się człowieka, „romans życia", gdzie jak w Goethowskiem „*Dichtung und Wahrheit*" prawda rzeczywistości zlewa się z poetyckiem zmyśleniem w jedną organiczną całość.

Tylko w zwiazku z niezwykłą rozpiętością zamierzenia nasuwa jedno poważne zastrzeżenie. Oto wobec właściwej Zegadłowiczowi skłonności do subtelnego cieniowania myśli oraz wobec pięknego, rozlewnego sposobu opowiadania, wynikającego z lirycznego charakteru wspomnień osobistych i z osobistego, nawskroś uczuciowego stosunku do opisywanych osób i rzeczy, a prowadzącego nieraz do zgoła zbytecznych z punktu widzenia kompozycji opisów (jak np. kilkadziesiąt stronic zajmujący traktat o dziejach miasta Wołkowic — Wadowic, z pietyzmu do rodzinnej miejscowości tu włączony) — „Żywot Mikołaja S." rozrość się może do rozmiarów, których objęcie będzie wymagało wysiłku, przewyższającego o wiele granice wytrzymałości przeciętnych czytelników. Z tego właśnie powodu należy się obawiać, że dzieło Zegadłowicza nie zyska szerszej popularności, chociaż zawiera epizody tak niezaprzeczenie wartościowe (np. opis gry na skrzypcach ojca Mikołaja, rozmowa dziecka z druciarzem i wykład pogodnej filozofji życia tego wiecznego wędrowca, rozdział, traktujący o dobrem przymierzu z książkami itp.), momenty tak barwne i pogodne (np. opowieść ks. Caneau o kłopocie z podarunkiem rzeźbiarza, charakterystyki cioci Wilhelminy i wuja Wacława, typy służby porębiańskiej), to znów szczerem wzruszeniem tchnące fragmenty (powrót Mikołaja do domu po chorobie ojca, pożegnanie przy wyjeździe do szkół, ostatnia przedśmiertna rozmowa ojca z synem, u trumny ojca, pogrzeb), że powinny stać się własnością ogółu.

RAJMUND BERGEL

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Stanisław Wasylewski wydał jedną z tych książek swoich, któremi zaczytuje się publiczność wszystkich sfer i każdego wieku, a przytem wytwornych pod względem literackim. Książka nosi tytuł: „Bardzo przyjemne miasto". Wyszła ona w Poznaniu u Wagnera, w bibljotece autorów polskich, z 12 ilustracjami i w pięknej okładce według akwareli T. Różankowskiego. Pierwszą ilustracją jest portret autora, rysowany przez St. I. Witkiewicza. Dawne wydanie tej książki nosiło tytuł „Historje lwowskie".

*

Sodalicja Marjańska w Chyrowie wydała małą książeczkę zawierającą „Modlitwy przy Komunji świętej" napisane przez Lucjana Rydla podczas wojny. Modlitwy te, o bardzo pięknej, choć nader prostej formie literackiej, świadczą nietylko o gorącej wierze i uczuciach chrześcijańskich tego wybitnego poety, lecz także o gorącym jego patrjotyzmie; jak wiadomo, z przedśmiertnego listu poety, ogłoszonego niedawno w „Ruchu Literackim", Lucjan Rydel, złamany chorobą, bardzo żywo odczuwał wszystkie przesilenia i bole, jakie przechodziła Polska podczas wojny; wieść o pokoju brzeskim, niweczącym nadzieje pewnych grup polskich, przyśpieszyła śmierć poety. To też i w tym modlitewniku spotykamy przepiękną modlitwę o ukojenie ran, zadanych Polsce przez wojnę oraz o zmartwychwstanie narodu polskiego; w zakończeniu tej modlitwy poeta prosi Stwórcę, aby dał narodowi „wiarę żywą, miłość Boga, Ojczyzny, miłość bratnią i zgodę, męstwo i braterstwo, cierpliwość i wytrwanie, nadzieję i roztropność, ducha publicznego i serce do wszelkich ofiar gotowe".

*

Pod szumną nazwą „Album sterników nawy państwa polskiego" wydała firma „Swast" wielkie tomisko, nie zalecające się ani wyglądem estetycznym, ani wartością wewnętrzną i porządnie drogie, bo kosztujące aż 50 zł. Jest to poprostu zbiór fotografij, przeważnie źle odbitych i zamazanych, przedstawiających naczelne osobistości państwa polskiego w czasie ubiegłego dziesięciolecia; są tu więc prezydentowie Rzeczypospolitej, prezesowie rady ministrów, ministrowie, wiceministrowie, posłowie i ambasadorowie polscy zagranicą. Poczet ich, niestety, jest niekompletny i traktowany z karygodną stronniczością. O ile z „sanacji" nawet podsekretarze stanu są tu reprezentowani, to brak fotografij wielu ministrów, którzy piastowali teki w gabinetach o charakterze narodowym: nie widzi się tu więc ministrów kolei: Karlińskiego i Nossowicza, ministra spraw wojskowych Szeptyckiego etc. etc. Czy takie dzieło, tak marnie wydane, może stanowić już nie „dokument historyczny" (jak głoszą reklamy) ale choćby „pamiątkę i ozdobę salonu", wątpić mocno należy.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

U wydawcy Plon'a ukaże się z wiosną szósty z rzędu tom wielkiej pracy p. Raymond'a Poincaré'go: *„Au Service de la France"*, a ma nosić tytuł *„Les Tranchées"*.

*

„Les Jeux de l' Enfer et du Ciel" (Flammarion édit.), których autorem jest p. Henri Ghéon, obejmują aż 3 tomy, ale bo też tyle w nich jest djabełków, że jedna książka nie wystarczyłaby do ich pomieszczenia. Prawda także, że akcja odgrywa się w 184... r. i w... dyliżansie. Udaje się on z Lyonu do Ars, przewożąc około dwudziestu podróżnych. Ich to historje, pikantne i bolesne, opowie nam p. Ghéon w sposób niezmiernie subtelny i moralizujący. Poznamy też dramatyczną miłość pięknej mieszkanki Lyonu, której mąż się zabił, a wobec tego nie odważa się ona poślubić człowieka, którego kocha. Ksiądz jednak z Ars, który tu odgrywa rolę dobroczynnego i wyrozumiałego duszpasterza, uspokoi jej wyrzuty sumienia, podobnie jak dopomoże pięknej Pameli do zerwania z ziemską miłością i wstąpienia do klasztoru, Józefowi do poślubienia panny Toto, która, dzięki temu, będzie prowadziła cnotliwe życie. Dzięki interwencji tegoż księdza z Ars wolnomyśliciel nawraca się, pijak powraca na łono rodziny itd. itd. Rolę djabłów odgrywają natomiast trzej kupcy. Oni to starają się wprowadzić niepokój w dusze i przyczynić się do ich zguby. Jednakowoż zostają pokonani. Historję tych cudów opowiada p. Ghéon z dużem przeświadczeniem, a ujęte w formę żywych opowiadań, czytają się one lekko i przyjemnie.

*

Pani Amélie Murat w *„La Bête Divine" (Artisan du Livre)* odmalowuje zmagania się młodej dziewczyny, wychowanej w atmosferze surowej i szarej. Wierzy ona głęboko w Boga, ale wcześnie budzą się jednakowoż w niej zmysły. Wówczas zaś, idąc za ich głosem, porzuci rodzinę, nękana atoli wyrzutami snmienia, stara się walczyć, a zostanie ostatecznie pokonana śmiercią. Powieść ta, bardzo sentymentalna, stanowi dosyć ciekawe połączenie dawnego i dzisiejszego sposobu myślenia i pisania.

*

W jednym z ostatnich zeszytów rzymskiego miesięcznika *„L'Europa Orientale"* znajduje się artykuł p. Egista de Andreisa p. t. *„La Polonia sul Baltico: Danzica e Gdynia"* („Polska na Bałtyku: Gdańsk i Gdynia), w którym autor rozwija pogląd, żę Gdańsk i Gdynia uzupełniają się wzajemnie pod względem handlowym, zbijając przytem twierdzenie pangermanistów berlińskich, iż po ukończeniu portu w Gdyni, Polska nie będzie potrzebowała Gdańska, wskutek czego można go będzie przyłączyć do Niemiec.

W kilku numerach dziennika *„La Tribuna"* tenże autor umieścił szereg artykułów o wystawie poznańskiej, o której pisze z entuzjazmem, jako o świadectwie niezwykłej żywotnośc narodu polskiego.

SZTUKI PLASTYCZNE

BRACTWO ŚW. ŁUKASZA

PRZED paroma laty grupa młodych artystów malarzów, niedawnych uczniów Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych, zawiązana pod nazwą „Bractwa św. Łukasza", miała w Zachęcie pierwszą swoją wystawę, którą opinja artystyczna stolicy przyjęła bardzo przychylnie. Obecnie, również w Zachęcie, druga z kolei wystawa tej grupy świadczy wymownie, że „Bractwo" nie zawiodło pokładanych w niem wówczas nadziei. Rozwój artystów poszczególnych z natury rzeczy poszedł różnemi drogami i w różnym tempie, ale podstawy usilnej pracy i rzetelnego stosunku do sztuki trwają w niezmienionej mocy i świeżości. „Bractwo" pozostało grupą na gruncie formalnym, towarzyskim i moralnym, co jest rzeczą ważną i dobroczynną, lecz rozeszło się na różne indywidualności, co jest równie konieczne, jak pożądane. O ile przeto w swoim czasie powitałem „Bractwo", jako całość, o tyle dzisiaj krytyk ma już dostateczne podstawy do wyszczególnienia każdego artysty zosobna, a nawet nie mógłby według cech artystycznych złączyć ich w jeden żywy organizm.

Najszybciej w kierunku indywidualności pełnej rozwinął się p. Bolesław Cybis, tworząc swój całkowicie odrębny świat, zresztą już na pierwszej wystawie mocno zarysowany, a teraz do wielkiej doskonałości doprowadzony. Początek swój biorąc w prymitywach sztuki niemieckiej, szybko zerwał z ich naśladownictwem i doszukał się w sobie własnego koloru, wyrazu, rysunku, modelacji i kompozycji, które w dwóch, szczególnie, pracach—w „Toalecie" i w „Macierzyństwie" — osiągnęły wysoce wytworny nastrój poetycki. Cały realizm wiedzy anatomicznej i technicznej, wysuwany na czoło przez innych „Łukaszków", w pracach p. Cybisa kryje się, jako fundament, pod duchowemi wartościami sztuki, co jest słuszne, skoro nie chcemy, by sztuka była surowym naturalizmem, kopjowaniem mięśni, skóry, świateł, barw i cieniów. Zdaje się przytem, że artysta z niezachwianą pewnością zawierzył swemu instynktowi, ograniczył się bowiem do głów i kompozycyj, opartych na postaci ludzkiej, a nie błąka się, jak inni, po dziedzinach całkiem sobie obcych. Twórczość jest ograniczeniem się.

Zabłąkał się w nieswoją dziedzinę p. Aleksander Jędrzejewski, malując obraz p. t. „Rok 1918", a także p. Jan Wydra, malując swoją „Alegorję". Pominę te obrazy, które zostaną zapomniane, jako błędy młodości w dorobku twórczym dwóch urodzonych kraj-

obrazistów. Nie zaważą one i nie zaciążą obu prawdziwym talentom, pod warunkiem jednak, że już artyści podobnych prób czynić nie będą. Tenor nie może śpiewać basem, ani bas tenorem.

Twórczość p. Jędrzejewskiego można związać z impresjonizmem — z tą atoli uwagą, że jest ona samorodna i wypływa z konieczności samego talentu. Gdyby impresjonizmu nie było, p. Jędrzejewski mógłby go stworzyć, jako swój sposób widzenia i odczuwania światła plastycznego. Tę samodzielność artysty łatwo w kilkunastu jego krajobrazach prześledzić a swój szczyt osiąga ona w „Krajobrazie z Łucka". Obraz ten — przedziwny w potędze wizji artystycznej poemat, stworzony na realnej podstawie tak prozaicznego tematu, jak stacja kolei żelaznej z szynami, parowozami, remizami i widokiem na miasto. P. Jędrzejewski jest pierwszorzędnym kolorystą, nie owym technicznym majstrem koloru, bezdusznym żonglerem barw, lecz poetą barw, co dla poety krajobrazu stanowi podstawę jego wyrazu. Tym „Krajobrazem z Łucka" mógłby się poszczycić największej sławy impresjonista, można przeto piękną wróżyć przyszłość artyście, który tak zaczyna.

Sztukę p. Wydry można (dla orjentacji czytelnika) nawiązać do Jana Stanisławskiego. Jeden zwłaszcza krajobraz żywo przypomina charakter prac tego mistrza. Ale jest to pokrewieństwo tylko, nie naśladownictwo. Młody artysta z „Bractwa" jest sobą. Grożą mu jeszcze chłodne barwy, małe opanowanie rysunku, zbyteczne chlapanie grubemi warstwami farb, ale czuje się tu lwi pazur wielkiego talentu kolorystycznego, nerw krajobrazisty i—jak u szanujących się „Łukaszków"—umiłowanie sztuki i przyrody.

Samodzielnie również rozwija się p. Jan Zamoyski, ale tem zasadniczo różni się od wyżej wymienionych artystów „Bractwa", że jeszcze z zaciekłą pilnością opracowuje i umacnia fundamenty swojej sztuki—technikę i obserwację realistyczną, odkładając na przyszłość nadbudowę sztuki, a więc jej wartości poetyckie, duchowe, nawskroś podmiotowe. Pewien wyraz dał tym wartościom w kompozycji „Wygnańcy", lecz i w niej jeszcze realizm i studjum objektywne górują znacznie nad dążeniem do syntezy. Na tak wielkich danych techniki i wiedzy malarskiej i na takiej sile realizmu, jakiemi rozporządza p. Zamoyski, można już śmiało zacząć budowanie oryginalnego rozumienia świata plastycznego w jego wartościach duchowych, to znaczy tych, które mu sam artysta z wnętrza swoich nerwów, uczuć i wyobrażeń narzuca. Tymczasem p. Zamoyski jest jednym z najlepszych współczesnych portrecistów.

Płasko rzeźbione polichromje na murze p. Mieczysława Szulca ukazują talent dekoracyjny wysokiej miary, któremu należy dać jaknajprędzej pole twórczości w zamówieniach do architektury. Dziedzina, którą obrał p. Szulc, jest, niestety, tak ściśle związana z budownictwem gmachów monumentalnych, że bez nich talent może, poprostu, oniemieć, skazany na kartonowe lub ramowe projekty do architektury wymarzonej.

Taki jest w ogólnych zarysach bilans paru lat pracy w pracowniach „Bractwa". Do wątpliwych pozycyj „Bractwa" należy sztuka p. Antoniego Michalaka—bardzo, jak dotychczas, powierzchowna, p. Janusza Podoskiego, który nie wyszedł poza krąg sztuki nauczyciela swojego p. Pruszkowskiego, dalej p. Jana Gotarda, który zastygł w smołach czarnej farby i żółtych masek twarzy i rąk, oraz p. Czesława Wdowiszewskiego, którego przytłoczył Matejko. O p. Eljaszu Kanarku nie mówię, ponieważ należy on do sztuki żydowskiej, ta zaś tak w Polsce i jej paryskich kolonjach obrodziła, że powinna stworzyć sobie własne bractwo proroka Eljasza, własną Zachętę i własny rynek zbytu, a nie plątać się pod cudzemi znakami.

A propos — przytoczę tu nazwiska z katalogu, który mi z Paryża przysłano z „Wystawy polskiej sztuki współczesnej", urządzonej przez przedsiębiorstwo „*Editions Bonaparte*". Uważajmy: Aberdam, Ascher, Bornstein, Chodasiewicz-Grabowska, Cytrynowicz, Czyżewski, Ebiche, Gottlieb, Grabowski, Halicka, Hayden, Hecht, Kanelba, Kisling, Kramsztyk, Kuna, Langerman, Makowski, Marcoussis, Menkes, Moryce-Lipszyc, Nadelman, Mondszein, Olesiewicz, Rafałowski, Seifert, Stażewski, Konarska, Kulisiewicz, Mrozewski, Skoczylas, Terlikowski, Weingart, Weissberg, Zak. Czyli około siedemdziesięciu procent żydów. Przedmowę do katalogu napisał p. Chil Aronson. Zauważmy, że panowie Kisling i Marcoussis (Markus) latem tego roku na wystawie reprezentacyjnej sztuki francuskiej w Warszawie występowali jako Francuzi, a teraz — jesienią, w Paryżu na wystawie współczesnej sztuki polskiej występują jako Polacy.

Zapewne w następnym szkicu powrócę jeszcze do tej sprawy. W tej chwili, pisząc o „Bractwie św. Łukasza", tak już mam dosyć tych kanarków tłumnie pierzących się na polskie wróble, że mi „Bractwo" wybaczy moje milczenie o jego własnym chowie.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

ZMARLI

JAN BAUDOUIN DE COURTENAY

ZMARŁY w Warszawie prof. Jan Baudouin de Courtenay należał do najznakomitszych, światowej sławy uczonych na polu językoznawstwa porównawczego.

Urodzony w Radzyminie 13 marca 1845 r. żył zgórą lat 84. Wychowaniec Szkoły Głównej w Warszawie (1866), w Lipsku 1870 otrzymał stopień doktora filozofji, a w 1875 doktora uniw. petersburskiego. Studjował w Pradze, Jenie, Berlinie, Rosji, w południowej Słowiańszczyźnie i we Włoszech. Od r. 1871 wykładał w uniw. petersburskim językoznawstwo porównawcze, od r. 1875 do 1883 gramatykę porównawczą języków indoeuropejskich w Kazaniu, od r. 1883 do 1893 gram. porów. słowiańską w Dorpacie. Jako członek Akad. Umiej. w Krakowie, przeniósł się w r. 1894 na uniw. Jagielloński, gdzie wykładał do r. 1900 językoznawstwo porównawcze. Od niego zaczyna się w Polsce rozkwit językoznawstwa na wysoką miarę naukową. Bibljografja wymienia około 300 jego prac w sześciu językach.

Indywidualność wybitna swoją jednostronnością. Człowiek nadzwyczaj rygorystyczny w etyce osobistej i w stosunku do prawa, w poglądach filozoficznych hołdował skrajnemu ateizmowi i racjonalizmowi. Poglądy te stosował ściśle do życia ludzkiego, w którem nie uznawał pierwiastków irracjonalnych, a więc uczuciowych, tradycjonalistycznych i narodowych. Należał do związku skrajnych wolnomyślicieli, co go wyłączało z kontaktu z życiem realnem. Od lat młodych do późnej starości zawsze w walce z rzeczywistością, nie dawał do siebie dostępu żadnej prawdzie z życia płynącej.

W świecie naukowym cieszył się zasłużoną powagą, odpowiadającą zasługom, położonym w nauce ścisłej.

OFENSYWA

TRIFOLIUM CZYLI TRÓJLISTEK

W MOMENCIE „krótkiego spięcia" między parlamentem a dyktaturą w Polsce odegrała też pewną rólkę niejaka pani Migowa. Jej literkami podpisany był mianowicie podstępny wywiad ze służbą sejmową, który potem zużyła prasa sanatorska celem zdyskredytowania Sejmu i jego marszałka. Ta dama Migowa zrobiła sobie wywiad ze „starostą straży sejmowej" 60-letnim Bartosiewiczem i jego pomocnikami, którzy nie wiedząc, co i kogo reprezentuje starsza jejmość o groźnie semickim wyglądzie, interpelowani sposobem łapaczy i łapaczek nocnych, odpowiednio zeznawali. Kiedy dama pytała: „Więc nie wdarli się przemocą?"... „Więc nie wtargnęli...?" zaskoczeni odpowiadali oczywiście: „Nie, nic podobnego..."

Dama ta przyszła do Warszawy oczywiście z Krakowa, z „Kuryjerka". Debiutowała w Warszawie aranżowaniem tych hec z „*miss* Polonia"; na fotografjach wyglądało to tak, iż brała obawa, żeby „*miss* Polonia"; z Paryża nie przedostała się do Argentyny. Obecnie dama Migowa, już rozzuchwalona bezkarnością, przeszła do wywiadów z woźnymi sejmowymi.

Oprócz damy Migowej zyskał sobie „Kurjer Czerwony", znów oczywiście z Krakowa, nową gwiazdę t. j. prof. Wł. L. Jaworskiego. Ci panowie z „Czasu" nie mają żadnych przesądów. Zażarta, zaciekła nienawiść do Endeków za to, że dobili Austrję a zrobili Polskę ze stolicą w Warszawie, a nie „we Wiedniu", pcha ich nawet do „Kurjerka Czerwonego", byle dokuczyć, dopiec Endekom. Stary, schorowany Jaworski gotów pisać do „*Momentu*" do „*Siewodnia*" ryskiego, do kowieńskiego „*Ritasu*" byle okrążać Endecję. W całem życiu politycznem przedwojennem posługiwał się najpaskudniejszemi kawałami, korupcjami i szwindlami; w ostatnich latach zaczął pozować na moralistę, uniwersalistę, chrześcijanina, katolika, etyka. I ta „etyka" (Stańczykowska) nie powstrzymuje go od współpracy w jawnie pornograficznem piśmie, o ile tylko czuje, że tam może coś zaszkodzić wzrastającemu autorytetowi moralnemu obozu narodowego. Zachęcony i zaagitowany widocznie przez damę Migową, pisze sędziwy im-moralista polityczny (co to w najobrzydliwszych szalbierstwach wiedeńskiego rządu zawsze maczał paluszki) jakieś patetyczne kabotyńskie kazanie p. t.: „Bez ducha wspólności niema państwa".

Trzecim kwiatkiem wspaniałej kultury krakowskiej, który w danym momencie krytycznym pośpieszył z sukursem, jest znowuż pułkownik Eile. Ten produkuje się w „Polsce Zbrojnej", nie w „czerwoniakach". Od jakiegoś czasu pełni tam funkcję historyka. Wyznania i rasy tej samej, co dama Migowa. Innego „historyka" „Polska Zbrojna" widocznie znaleść już nie mogła. Popisuje się rewelacjami historycznemi z przed stu lat. Pisze: „refleksje", odziedziczywszy tytuł rubryki po p. Wassercugu. W tych refleksjach łży i szkaradzi dawne sejmy. Co świeżo i po raz pierwszy wyczytał w Korzonie, Kalince, Smoleńskim, Dembińskim i innych polskich dziejopisach, z tego sobie wydziobuje i wyiskuje p. Eile (sklep z galanterją wiedeńską przy ul. Grodzkiej) ataki i napaście na Sejm. Ponieważ żaden z młodych polskich historyków takiej „roboty" podjąć się nie kwapił, więc na ich miejsce wskakuje p. H. Eile. On tedy nawiązuje nici tradycji do przeszłości, on poucza Polaków, jak to było ongiś i jak być powinno teraz. Pan Eile z Krakowa przypomina tedy, że i książe Józef bardzo sejmów nie znosił (od czasów Aszkenaza książe Pepi jest dla pp. Eile ostatnią instancją). Uradowany i dumny cytuje p. Eile takie zdanie Poniatowskiego o sejmach:

„Kłócić się w sejmie, słuchać ustawicznego skrzeczenia istot bezrozumnych, powodowanych prywatą, znosić obelgi, ciskane pod osłoną patrjotyzmu, udawać przed pierwszym lepszym, nie być nigdy sobą — jest to rzemiosło zgoła niezgodne z moim charakterem..."

I poucza p. Eile (z Grodzkiej ulicy) Polaków, że:

„W rzeczywistości było jednak inaczej, gdyż ten przyszły marszałek i pierwszy polski minister wojny był zwolennikiem silnego rządu i to zarówno na zewnątrz, jak i na wewnątrz, zwłaszcza w stosunku do sejmu".

Słyszycie? A potem już wprost pod adresem Bebeków (zgodnie z damą Migową i prof. Jaworskim) taką daje radę, opowiadając i streszczając to, co wczoraj na świeżo w Kalince czy Korzonie wyczytał, a co mu się wydaje aktualne, pedagogiczne, no i usprawiedliwiające ostatnie zajścia czwartkowe... usprawiedliwiające tradycjonalnie:

„Skoro mowa o Stanisławie Auguście, to najjaskrawszy chyba zatarg na terenie sejmowym między sejmem a wojskiem zdarzył się bezpośrednio przed elekcją tego króla, na sejmie konwokacyjnym w 1764 r. Wówczas bowiem zarówno ulice, przylegające do zamku, jak i sam zamek, w którym sejm miał obradować, obsadziło wojsko polskie, o które oparli się Czartoryscy, dążący do reform, do usunięcia *liberum veto* i przystosowania archaicznego ustroju Polski do współczesnych warunków, a zmagający się z Potockimi, związanymi z Radziwiłłami. Nawet schody, wiodące do sali obrad sejmowych i ławy w samej sali obrad zajęli ułani Czartoryskich. Obecność wojska w zamku, spowodowała staroszlacheckie stronnictwo Potockich, opierające się zamierzeniom Familji (stronnictwo Czartoryskich) do nieuznania ważności sejmu i zerwania jego obrad. Gdy wskutek zgłoszonego przez przedstawiciela tego stronnictwa, gen. Mokronoskiego, protestu (Tamuję czynności sejmu, *sisto activitatem*), marszałek sejmowy Małachowski wzbraniał się wznieść laskę i tem samem otworzyć posiedzenie, błysnęły nad jego głową pałasze ułanów Czartoryskich. Wtenczas marszałek oświadczył: „Mości panowie! Ponieważ dla smutnych powodów, które są Wam wiadome, niema już między nami wolności, oświadczam, że unoszę z sobą laskę marszałkowską i nie podniosę jej, aż kiedy Rzeczpospolita uwolniona będzie od tej klęski". Bezpośrednio po tem oświadczeniu marszałek opuścił salę i tem samem sejm został zerwany. Równocześnie opuścili salę Potoccy i ich zwolennicy. Czartoryscy jednak pozostali na sali i odbyli sejm w postaci konfederacji generalnej, co chroniło obrady od stosowania *liberum veto*. I na tym sejmie uchwalono szereg doniosłych i zbawczych reform, a m. in. powołanie do życia komisji wojskowej, którą można poniekąd uważać za pierwsze polskie ministerstwo wojny".

Tak p. Eile jest tedy czartoryszczykiem, *sui generis* oczywiście. Zapomina nawet, kim potem był Małachowski, a mlaskając z apetytem, przypomina, że nad „jego głową błysnęły pałasze ułanów". I między wierszami chwali Czartoryskich, że odbyli sejm w postaci „konfederacji"... Więc możeby tak i „Bebeki"??

Takie *Trifolium* dał nam znowu w krytycznym momencie Metternichowski Kraków: Migowa, Jaworski, Eile. Zawsze z ducha: Enkaenity, zawsze godłem: *ruere in servitium*.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Kilkakrotnie już dawaliśmy na tem miejscu wyraz palącej potrzebie zebrania i ogłoszenia drukiem w wydaniu książkowem wszystkich mów, wywiadów, artykułów i tp. p. ministra wojny Piłsudskiego. Ale także „enuncjacje" innych mężów stanu nie powinny zaginąć w niepamięci. Tak np. ze wszech miar byłoby rzeczą pożądaną zebrać i ogłosić wspólnie wszystkie mowy oświadczenia i wywiady p. marszałka Senatu, dr. Szymańskiego..

*

Opisując kilkugodzinny pobyt setki oficerów w gmachu sejmowym dn. 31 z. m., „Express Poranny" podał, między innemi, następującą informację:

„Mimo, że wiadomość o odwołaniu posiedzenia rozeszła się natychmiast, zgromadzeni w westibulu oficerowie nie rozchodzili się. Posłowie z Bloku Bezpartyjnego przynieśli im kilkadziesiąt krzeseł ze swojego lokalu".

Którzy mianowicie posłowie z klubu BB spełnili tę uprzejmą posługę, „Express Poranny" nie zawiadamia. Może uczynił to książę Janusz Radziwiłł, może prof. Kochanowski... Jest to zresztą szczegół mniejszej wagi wobec faktu, iż, jak wiadomo, stanowisko klubu BB w sprawie wspomnianej demonstracji oficerskiej, było najzupełniej jednomyślne...

*

O tejże manifestacji donosiła redagowana przez pułk. Koca, sanacyjna „Gazeta Polska":

„Niewątpliwą jest rzeczą, że odruch, który zaprowadził grupę oficerów do przedsionka sejmu na wieść, że przybyć tam ma marszałek Piłsudski, był milczącą manifestacją, jakiej jedynie wolno używać wojskowym w wojsku..."

Zaś sanacyjny „Express Poranny" informował:

„Gdy pod gmach Sejmu podjechało auto, wiozące marszałka Piłsudskiego, oficerowie utworzyli szpaler i powitali wysiadającego Wodza trzykrotnym okrzykiem „Niech żyje!".

Ciekawa rzecz wobec tego, czy — zdaniem „Gazety Polskiej" — wymieniona manifestacja oficerów była taką, jakiej nie wolno „używać wojskowym w wojsku", czy też raczej — według „Gazety Polskiej" — wznoszenie okrzyków jest właśnie cechą charakterystyczną.. manifestacji „milczącej"... A może tak „Gazeta Polska" odpowie i wyjaśni w sposób miarodajny te wątpliwości...

*

W „Gazecie Polskiej" (nr. 7) czytamy:

„Metoda Marszałka Piłsudskiego dlatego jest napozór tak pełna niespodzianek,—że jest konsekwentna..."

Jakaż to szkoda, że artykuły „Gazety Polskiej" nawet napozór nie sprawiają wrażenia rozumnych. Przynajmniej mielibyśmy odrazu wyjaśnione, dlaczego jest inaczej...



TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 2545. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 1290.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45,
Konto czekowe na P.K.O. 3.105

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM